ŻYTO i perspektywa

odgłosu

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 23 lipca 1961 r.

Nr 29 (177) Cena 1 zł

Stefan Bratkowski

III nagroda w konkursie -Opisanie Łodzi-

MARIAN BRANDYS

ZDANIE JURORA

Jako jeden z „jurorów" konkursu reporterskiego p.n. „Opisanie Łodzi", zostałem zaproszony przez redakcję „Odgłosów" do wypowiedzenia się na temat tego konkursu.

Zacząć muszę od tego, że konkurs łódzki już samym założeniem wyróżnia się korzystnie ze wszystkich dotychczasowych imprez tego rodzaju. Był to konkurs dosk nale przygotowany, oparty na oryginalnym pomyśle. Jego organizatorom chodziło o to, żeby nadesłane na konkurs reportaże złożyły się w jeden wielki reportaż o Łodzi, żeby powstała z nich zbiorowa książka, którą będzie można zaprezentować krajowi, jako pełny obraz literacko-publicystyczny jednego z najciekawszych, a jednocześnie najmniej opisanych miast polskich. Takie założenie stwarzało konieczność planowego rozdziału tematów między uczestników konkursu. Podzielono tedy Łódź na dwadzieścia trzy dzielnice „do opisania" i rozlosowano je wśród czterdziestu kilku konkursowiczów, rekrutujących się w połowie z wybitnych reporterów krajowych, a w połowie z dziennikarzy i literatów łódzkich. Ów tematyczny podział Łodzi, dokonany w konsultacji z miejscowymi socjologami, nie pokrywał się bynajmniej z podziałem administracyjnym. Na tematy reporterskie wytypowano t.zw. „obszary naturalne" — to znaczy dzielnice miasta, zespolone w odrębne całości, nie zarządzeniem administracyjnym, lecz wiekową świadomością mieszkańców, jednakowymi warunkami geo-socjologicznymi, wspólną problematyką. Uczestnik konkursu, który wylosował swoją dzielnicę, otrzymał ponadto jej „metrykę" — to znaczy dokładną dokumentację, tak współczesną, jak historyczną.

Trzeba lojalnie przyznać, że w żadnym z dotychczasowych konkursów dziennikarskich czy literackich organizatorzy nie wykazali takiej pracowitości i energii jak organizatorzy łódzcy. Można więc było przypuszczać, że przy takim solidnym przygotowaniu, konkurs spełni całkowicie pokładane w nim nadzieje. Wydawało się najzupełniej logicznie, że jeśli każda dzielnica z osobna zostanie dobrze opisana, to całość jakoś sama się złoży. A jednak wyszło inaczej. Nastąpiło coś czego organizatorzy nie przewidzieli. Wskutek podziału

Dokończenie na str. 2

Łódzką ulicą, ulicą Hokejową idzie krowa. Łaciata, zwykła. Przy Retkińskiej inne mlekodajne brodzą w życie. Wśród zyta końcową pętlę zawija tramwaj „19", podzwaniając na bydło.

Krowa z ulicy Hokejowej skręca w Retkińską; wiedzie za sobą pogodnego staruszka w niebieskim kombinezonie. Idą ku miastu.

— Pańska krowa?

— Nie. Seminaryjna.

— ???

W obórce przy katedrze, u zbiegu Worcella i Stanisława, ojcowie z duchownego seminarium trzymają dwa bydlątka: dla ścisłości dodajmy, że i tak nie nastarczają one potrzebom; 40 litrów dokupuje się jeszcze, dwie bańki. Zwłaszcza teraz to istotne, kiedy jedną krowę należało odprowadzić do buhaja na Brus.

— Na Brus.

— Aha, na Brus. Daleko.

Brus to już poza Łodzią. Idzie się Karolewską przez miasto koło dworca, potem przez Retkinię.

— No a w Retkini?

— Do Retkini przychodzi całe miasto. Ale my prowadzimy na Brus.

I staruszek w niebieskim kombinezonie (....20 lat pracy. Księża dobrze płacą. Gdzie chleb, tam ojczyzna"), ojciec dwóch absolwentów Politechniki, dopędza swoją podopieczną, która z powagą, właściwą seminaryjnej krowie, sama znajduje drogę do domu.

Cóż, gdyby chodziło o każdą inną łódzką krowę, sytuacja ułożyłaby się prościej. dość byłoby zadzwonić na telefon Ochotniczej Straży Pożarnej w dzielnicy Retkinia, a dyżurny szofer przekazałby wiadomość panu Wincentemu Kozuli (...ależ tak, tak, oczywiście, nie jest to najformalniej w porządku, ale pożary w tej części Łodzi zdarzają się rzadko, telefonicznie zaś alarmować straż mógłby jedynie ksiądz pleban: poza szkołą on tu jedynie dysponuje aparatem, nie licząc naturalnie dróżnika na przejeździe kolejowym. Lecz siedziba księdza proboszcza mieści się 100 m. od remizy a szkoła na tyłach jej budynku. Zgłoszenia więc dla pana Kozuli nie zagrażają publicznemu niebezpieczeństwu. W razie pożaru na terenie Retkini należy nie tyle szukać telefonu, ile raczej szybko biec ku remizie i głośno krzyczeć...).

Zdjęcia: Andrzej Kondratiuk

A pan Kozula? Jest inseminatorem. Wedle urzędowej nomenklatury. Bo sama Retkinia traktuje go trochę jak znachora, trochę jak tajemniczego magika i zowie prześlicznie — „zapylacz krów"...

,II

Sprawa 400 nowych łódzkich cieląt (rocznie) bynajmniej funkcji i wkładu Retkini w życie miasta nie wyczerpuje. Retkinia dostarcza miastu rąk do pracy: codziennie świeżych i w miarę wypoczętych, jeśli naturalnie ich właściciele nie cierpią właśnie na przykrego katza (....pije się w mieście albo w domu. Własnej knajpy nie mamy w Retkini") lub też jeśli ich właścicielki, a tych jest nierównie więcej, nie miały w „czasie wolnym od pracy" większych zajęć domowych; przy czym mogło to być równie dobrze pranie jak i robota w polu (....Retkinia jest dzielnicą chłopów-robotników").

To wszystko jednak nie po-

Dalszy ciąg na str. 4

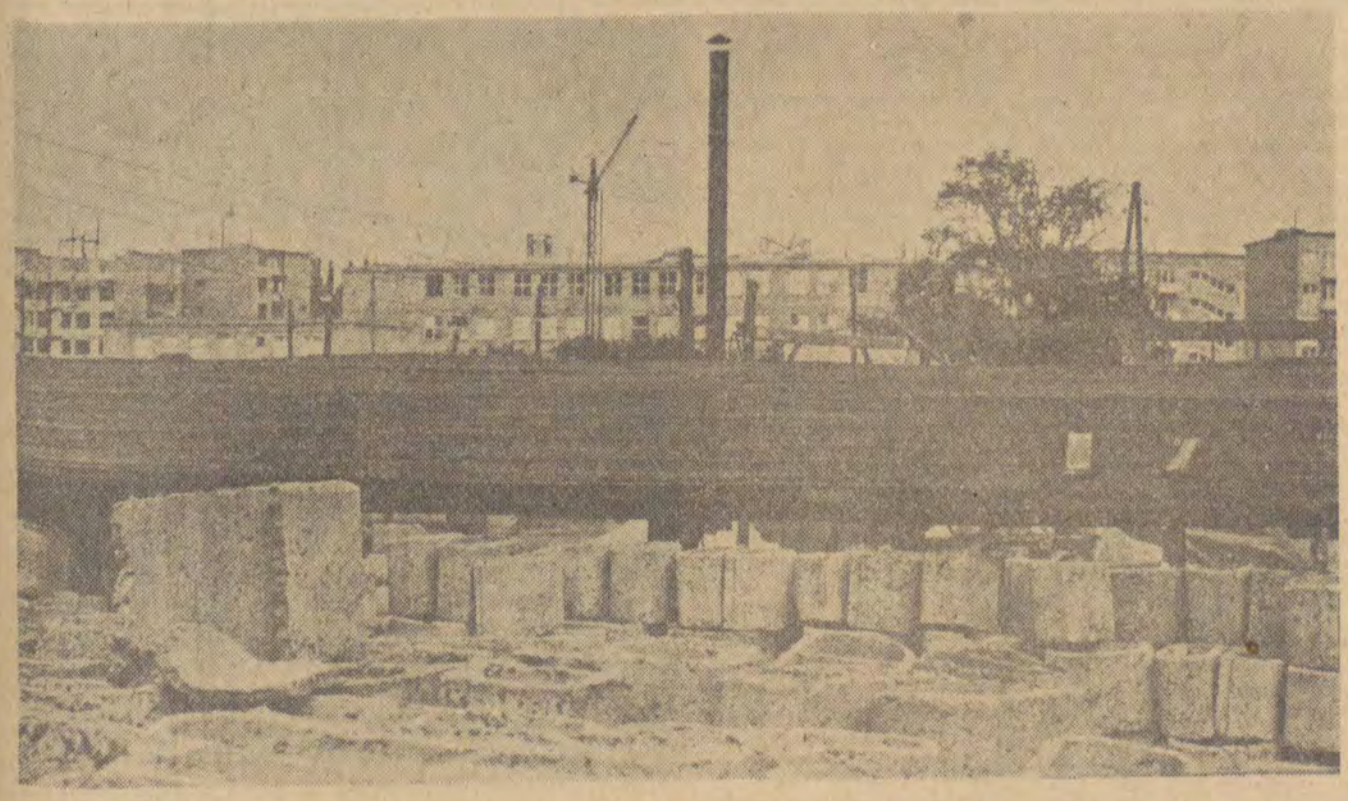

Piękna Nina, modelka z pierwszego na Syberii domu mody w Nowosybirsku.

KORESPONDENCJA STAMTĄD NA STR 7

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„WŁASNY KOŚCIUSZKO I CUDZY KAPITAŁ"

Z okazji święta lipcowego pisze się zazwyczaj pod tradycję. Łatwo ten obyczaj okpić. Powiadamy złośliwie: publicysta ubiera się w czerwony ornat i dzwoni na mszę narodową. Na ołtarzu poświęceń i wyrzeczeń, jak zwyczaj każe, stoją sobie uśmiechnięte świątki i reprezentują postępowe tradycje. Z takich jak oni my właśnie pochodzimy, budujemy maszyny elektronowe, rozbijamy atomy, realizując w ten sposób testament Chrobrego, Jagiełły i jeszcze kilku postępowych królów, a także myślicieli i działaczy.

Łatwo to okpić, myślę jednak, że dobry jest obyczaj sięgania z okazji święta wyzwolenia do przeszłości. Odczarowaliśmy już z magii nasze tradycje, nie jesteśmy wreszcie, nigdy zresztą nie byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, ani narodem skazanym na wielkość, opadły piórka z tych równie uroczych, co i szkodliwych Ideologii, ale przecież jest coś porywającego w naszej polskiej tradycji. Te postacie niezwykłe, romantyczne zakochane w ludziach, którym było źle, tragedie i porywy, wcale nie taka cienka nitka walk społecznych w tym kraju ongiś jezuickim i ciemnym. Badania naukowe przynoszą nam coraz to nowe szczegóły, przeszłość jest interesująca, pamiętniki zawierające historyczną prawdę biją rekordy czytelnicze.

Lecz przecież, kiedy święcimy dzień wyzwolenia, mamy na myśli ostatnie dziesiątki lat, choć i ten niedawny świat, opuszcza już krąg bezpośredniej świadomości, zwłaszcza młodzieży. Czynimy rzecz prostą i słuszną, wysiłki, aby usunąć resztki zamętu w rozumieniu naszych szlachetnych tradycji, nie mamy pretensji do Kochanowskiego o to, że nie propagował idei kółek rolniczych, dafowaliśmy ograniczoność klasową Prusowi, a nawet Żeromskiemu. Dziś poczynamy sobie z tradycjami znacznie lepiej, ale myślę, że nie tylko dla ludzi młodych, lecz dla wszystkich, którzy czynnie uczestniczą w naszym życiu, ważniejsze jest ostatnie szesnaście lat.

Piszemy o nich w nieskończoność na niepozornej i wielkiej nutce. Prosimy od lat, żeby nam telewizory grały, pralki prały, restauracje zatrudniały kucharzy, a nie lekarzy, którzy remontują nam brzuszki po awarii, to taki mały wymiar bieżącego dnia. Jest wszakże i wielki, a nawet patetyczny. Gdzieś osadę zamieniają w kwitnące miasteczko, osadą nazywa się Działoszyn, ówdzie znów zarumieniło się miasteczko, blade do niedawna i bez wyrazu. To Tarnobrzeg. I jeszcze Turoszów, Płock, Warta, Rybnik, czy legnickie zagłębie miedziane. Entuzjaści chwalą, sceptycy szydzą, myślicie — powiadają — że Polska to śrubki, przewody, elektroturbiny, kombajny rolnicze i kuchenne, kombinaty, mózgi elektronowe i nic więcej? A serce ludzkie, wspaniały, urzekający świat ducha?

Spór pomiędzy humanistą i technikiem zaczyna, jak myślę, nową tradycję, nieznaną raczej ani Chrobremu, ani nawet Worcellowi. I nie chodzi o to kto zwycięży, gdyby bowiem tak się stało, że na placu boju pozostanie jedna tylko ze stron — klęska absolutnie pewna. Rzecz polega na proporcjach. Jeśli Polak to rycerz, który kobietę w rękę całuje ku uciesze całej Europy, a równocześnie miejsca w tramwaju starszemu nie ustąpi, niech że to będzie rycerz, który chce i umie stwarzać materialne zaplecze dla swojej rycerskości. Kiedyś stwarzali mu to zaplecze rodzimi chłopi i rzemieślnicy, później Siemensy, Fiaty, Ulleny, Standard Oil Company, Vickersy, dobrze się zresztą u nas oblawiając. „Własny Kościuszko i cudzy kapitał", czyż nie tak było?

Bodaj Gombrowicz wspomina w swoich pamiętnikach, że Polacy przypominają pewną starą już i biedną ciotkę, która chwaliła się dalekimi krewnymi. Ci krewni mieli illo tempore bogate klucze majątków na Podolu. Tak i my zwykliśmy do niedawna czynić.

Chwaliliśmy się przed Francuzami, że mamy Modrzewskiego i Mickiewicza, a oni biedacy, tylko Woltera, Diderota, Balzaka, Stendhala i jeszcze setkę innych. Albo przed Niemcami — Szopenem. A oni też biedacy ze swoim Wagnerem, Beethovenem, Mozartem, Haydnem i setką innych. Taka miara wartości narodu nie może przecież dziś wystarczyć. Więc ten Polak dzisiejszy słusznie uważa ostatnie kilkanaście lat za ważne, no bo one przyniosły nowe sprawdziany znaczenia narodu. Statki, które kupuje cały świat, cukrownie, elektrownie, a nawet bekony i szynka wcale nie gorzej o nas świadczą niż bitwa pod Grunwaldem. Taką właśnie tradycję rozpoczynamy. Warto o tym pamiętać, gdyż wyzwolenie nie jest tylko kategorią polityczną — zwycięstwo nad faszyzmem i nie tylko społeczną — pozbycia się pana dziedzica i fabrykanta. Jest również kategorią ekonomiczną, swoistym pięknem. Ale pięknem takim, przypomnijmy sobie Norwida, które by do pracy zachwycało, pracą by się zmartwychpowstało.

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

JERZY PANASEWICZ

PATRZĄC z TORUNIA

Niedługo potem, jak dyskusja o repertuarze wybuchła na łamach „Odgłosów" i innych pism łódzkich, spakowałem manatki pojechałem do Torunia na III Festiwal Teatrów Polski Północnej. Być może straciłem przy okazji możność przysłuchania się paru kawiarnianym filipikom, zyskałem jednak coś, co nazwałbym perspektywą, a więc rzecz wcale pożyteczną.

Również w Toruniu mówiono wiele o repertuarze przeszłym i przyszłym, stawiano kabałę, wysłuchiwano dyrektorów, wreszcie nagradzano linie najsensowniejsze i najambitniejsze zestawy.

Niewielki Koszalin pokazał na przykład „Ludobójcę" Jareckiego — widowisko o Rudolfie Hoessie, oraz „Łaźnię" Majakowskiego, z tym że „Łaźnię" na stosunki współczesnokoszalińskie zaadaptowaną. Dostał wyróżnienie. „Za ambitny repertuar polityczny" — jak brzmi werdykt.

Teatr „Wybrzeże" z Gdańska, który w ubiegłym roku epatował nas „Nosorożcem" Ionesco i „Zabawą jak nigdy" Saroyana, a w swoim repertuarze za lata ostatnie miał również „Smak miodu", „Kapelusz pełen deszczu" czy „Cajusa Cezara Kaligulę" Roztworowskiego — tym razem prezentował kolejno aż dwie sztuki o ogólnonarodowej niemożności: „Indyka" Mrożka i „Wesele" Wyspiańskiego. Dyrektor Goliński zapowiada kontynuowanie tej właśnie linii i zapowiada „dyskutowanie z widownią sprawy Polaków".

Nagroda — za zestaw repertuarowy.

Teatry Dramatyczne ze Szczecina pokazały nam trzy sztuki. „Zemstę" Fredry w eksperymentalnej i przewrotnej, bo wręcz szopkowej inscenizacji Grudy. „Operę za trzy grosze", wreszcie „Więźniów z Altony" Sartre'a a w tym kształcie scenicznym pomyślanych jako zupełnie jednoznaczną politycznie sztukę antyfaszystowską.

Nagroda — za repertuar upowszechniający.

Prócz tego mówiło się wiele w Toruniu o dramaturgii współczesnej. Różnie, choć zawsze źle. Że nie ma. Że gdyby coś było, to by się grało. Że jeżeli już się gra, to recenzenci zjeżdżają i znów żyć się nie chce. Więc albo żeby coś było, albo żeby nie zjeżdżać — tyle dyrektorzy.

My znów: tylko bez taryfy ulgowej. Popracować z aktorem. Pomęczyć się. Pomóc mu. Zaryzykować. I grać, grać ale nie szantażować i o litość na kredyt ne spięcia.

Zaistniały również tak zwane spięcia.

Jan Puget: Dopóki się chłopa nie dopuści do baby, nie będzie z niego mężczyzna. Podobnie z młodym dramaturgiem i z teatrem.

Jan Kott: Przypomnijmy, że choć tak zwana możność przychodzi z wiekiem, to i z wiekiem odchodzi.

Stan faktyczny: trzy (na dwadzieścia pokazanych pozycji) sztuki współczesne polskich autorów w tym nijaka, w środku pusta, choć zręcznie napisana, i trzecia znana z „Dialogu". „Człowiek który umarł młodo" Wiesława Rogowskiego, „Bar wszystkich świętych" Jerzego Broszkiewicza i „Indyk" Sławomira Mrożka.

Efekt: rozpisanie przez Radę Narodową w Bydgoszczy ogólnopolskiego konkursu na pełnospektaklową sztukę współczesną z nagrodami 40, 30, 20 i 10 tysięcy złotych i termin do 31 maja roku przyszłego.

III

Repertuar polityczny, repertuar „dyskutujący z widownią sprawy Polaków", repertuar upowszechniający. I sztuki współczesne, których nie ma, a jeżeli już są, to... i tak dalej, wciąż w kółeczko.

Jeszcze widz. Widz który nie chodzi, który nie chce, który ma zły gust, który kupił telewizor i bambosze albo po prostu woli operetkę. Co z tym widzem? Znów odwołam się do przykładu Torunia, a zaraz potem — powiedzmy — do historii.

Otóż w Toruniu, poniekąd właśnie z racji festiwali, panuje łagodny teatralny snobizm. Tak jak w roku ubiegłym po prostu *nie wypadało* nie być na „Nosorożcu" i umęczeni upałem torunianie przez cały spektakl heroicznie podpierali ściany widowni, tak w roku bieżącym znów *nie wypadało* nie być na „Indyku" i historia powtórzyła się z całą dokładnością.

Nie mam czasu pisać tu dysertacji o mechanizmach wytwarzania społecznych snobizmów czy po prostu społecznych odruchów — mamy do dyspozycji łamy gazet, telewizję, radio, setki parkanów i witryn; wiele można zrobić, jeżeli się tylko chce i jeżeli — no tak, niestety — cokolwiek się zaplanuje długofalową akcję.

Teraz historia. Rzucę tylko jedno słowo i nie będę rzeczy rozwijał: gwiazdy. Widz chodzi na gwiazdy, chodził i chodzić będzie. Na Barszczewską w sztuce „X", a nie na sztukę „X" z kimś tam.

I znów: twórzmy gwiazdy. To wcale nie takie trudne, łatwiejsze nawet niż myślicie, ale znów rzecz w tym, że gwiazdy nie są na rękę dyrektorom...

Nie, wcale nie mam zamiaru kontynuować rozpoczętej przez Karola Obidniaka szarży. Zgódźmy się jednak, że ostatnim w Łodzi dyrektorem, który lubił gwiazdy, była Jadwiga Chojnacka, a ostatnią gwiazdą, która na łódzkim terenie rozbłysła, jej podopieczna i — otwarcie powiem — protegowana, Alicja Raciszówna. Na tym koniec, firmament się zaciemnił.

IV

„W rzeczy samej każdy teatr stworzony jest do jednej tylko sztuki i jedyne zadanie dyrekcji to wykrycie — dla jakiej. Sprawa jest niełatwa, zwłaszcza gdy ta sztuka nie jest jeszcze napisana. Stąd tysiące katastrof aż do chwili, gdy pod włosami Melizandy lub zbroją Hektora znajdzie się klucz do duszy danego teatru albo — że się ośmielę tak wyrazić — do jego płci.

(Jean Giraudoux — „Ondyna")

Powiedziane przesadnie, za pewne, ale coś w tym jest. Mamy w Łodzi cztery teatry na sześciu, jak dotąd, scenach, więc możemy jakoś podzielić ich obowiązki. Mówię „obowiązki" bo boję się trochę słowa „profil" — jest zbyt natrętne, zbyt ostre.

Teatr Nowy, jak słusznie zauważył któryś z dyskutantów, staje się zwolna Teatrem Narodowym. Niezbyt to może fortunne, bo funkcje spełniał tradycyjnie (co z tego, że przeważnie źle?) Teatr im. Jaracza, gdy Dejmek właśnie „dyskutował sprawy Polaków", fakty jednak mają to od siebie, że trzeba się z nimi godzić. Więc Teatr Narodowy, choć — jednak — chyba z ambicjami politycznymi, politycznymi, mimo że od tych ambicji nie mogą być wolne i pozostałe sceny.

Mała Sala — oczywiście przede wszystkim prapremiery polskich autorów; ta scena aż o to woła.

Teatr Powszechny i Teatr im. Jaracza, gdyby na jakiś festiwal jechały, powinny na mój gust brać tam nagrody za „repertuar upowszechniający". Z tym — i znów tu tropem Karola Obidniaka podążę — że większy margines swobody zostawiłbym właśnie dyr. Żukowskiemu, bo nie bardzo sobie wyobrażam, aby widz z „Powszechnego" wyszedłszy, mógł bodaj sam do siebie w duchu szepnąć: nie rozumiem.

Tylko że z tym „nie rozumiem" to też nie przesadzajmy. Dziecko wychowywane wyłącznie na smoczku, nigdy nie nauczy się żuć i może się zdarzyć, że w ogóle nie dorośnie do schaboszczaka. Podobnie z widzem i z repertuarem; jestem tedy za współodpowiedzialnością wobec widza z jednej, a wobec teatralnej kasy z drugiej strony.

Jestem za odstawieniem naszych „dorosłych miluśińskich" od smoczka i przejściem na bardziej nowoczesne a zarazem i bardziej pożyteczne potrawy.

Za długim i wszechstronnym przygotowaniem widza do pozycji trudniejszych, za całymi kampaniami w prasie włącznie.

Za drażnieniem widza, wywoływaniem w nim teatralnego snobizmu.

Za kreowaniem gwiazd.

Za uporczywym forsowaniem sztuk współczesnych, obiecywaniem wzamian za nie teatrom jakiejś „reklamowej premii" (choć nie reklamowej recenzji).

Słowem za wszystkim, co może pomóc teatrowi i co może pomóc widzowi, tylko nie za dreptaniem w miejscu.

P.S. W swoich — przyznaję: chaotycznych nieco — impresjach ani razu nie wymieniłem Teatru 7.15. Nie bez przyczyny — kolejne tej sceny są tak barwne a zarazem tak pouczające, że jeżeli tylko „Odgłosy" zechcą jeszcze raz otworzyć przede mną swoje łamy, poświęcę temu teatrowi osobny szkic. Mam nawet tytuł: „Brzydkie kaczątko" z bajki Andersena, czyli rzecz o Teatrze 7.15.

ZDANIE JURORA

(dokończenie ze str.1)

tematu na części, zagubiła się w pewnej mierze synteza.

Prace konkursowe, traktowane pojedyńczo, były przeważnie dobre i interesujące. Mogę śmiało stwierdzić, że w mojej dotychczasowej pracy sędziego konkursowego nie spotkałem jeszcze nigdy tak dobrego i wyrównanego poziomu prac. Właśnie dlatego nie mogliśmy się zdecydować na przyznanie pierwszej nagrody, właśnie dlatego musieliśmy powiększyć ogólną ilość nagród i wyróżnień.

Ale w całości konkurs swemu założeniu nie do końca sprostał. Nie dał pełnego obrazu Łodzi, nie uchwycił wszystkich jej najbardziej charakterystycznych cech i problemów. Zamiast jednego zbiorowego reportażu o wielkim mieście, otrzymaliśmy zbiór reportaży o dwudziestu trzech odrębnych dzielnicach, miasteczkach czy osiedlach. Wskutek terytorialnego ograniczenia tematu, uległa degradacji problematyka reportaży. Na pierwszy plan wysunęły się problemy partykularne — problemy w skali dzielnicy, miasteczka, osiedla. Natomiast daremnie szukaliśmy w tych reportażach najważniejszych problemów ogólnych wielkiej Łodzi. Nie dowiedzieliśmy się niczego o przemyśle łódzkim jako całości, nie pokazano nam trudnych spraw związanych z koniecznością wymiany przestarzałej armatury przemysłowej na nowoczesną. Stosunkowo mało było w reportażach o skomplikowanych problemach łódzkiej urbanistyki, czy o tak charakterystycznych dla Łodzi zagadnieniach wodociągowo kanalizacyjnych. Nie zajęto się także sprawą łódzkiej specyfiki kulturalnej, nie podkreślono, że miasto, które przed wojną nie miało ani jednej wyższej uczelni, przekształciło się w poważny ośrodek uniwersytecko politechniczny.

Zabrakło mi także w pracach konkursowych „opisania" egzotycznego folkloru przedwojennej Łodzi — miasta, składającego się właściwie z trzech odrębnych miast: polskiego, niemieckiego i żydowskiego. Powiecie, że tej egzotyki już nie ma, więc nie warto jej przypominać. Przeciwnie: trzeba ją przypomnieć, póki nas jeszcze na to stać. Bo Łódź przedwojenna — którą literatura polska raz ochrzciła „Złym Miastem" a drugi raz „Ziemią Obiecaną" — była wielką osobliwością polskiego kapitalizmu, była fenomenem narodowościowo-socjologiczno-gospodarczym na skalę światową. Te wszystkie sprawy w materiałach konkursowych bądź pominięto zupełnym milczeniem, bądź napisano o nich za mało. Czy znaczy to, że konkurs łódzki był nieudany? Nie ośmielilibym się tak twierdzić. Wydaje mi się, że — choć nie spełnił wszystkich naszych nadziei — trzeba go uznać za udany. Pokazano w nim po raz pierwszy nowy sposób napisanie zbiorowej monografii miasta. Sposób ten trzeba jeszcze ulepszyć, ale potem zechcą go z pewnością naśladować i inni. Dlatego organizatorom konkursu łódzkiego należy się podziękowanie za to pionierskie przedsięwzięcie.

MARIAN BRANDYS

Fot. Andrzej Kondratiuk

„Kobieta w szlafroku"

Nawet bardzo zły melodramat może uratować dobra kreacja aktorska. „Kobietę w szlafroku" uratowała, skupiając na sobie uwagę widza, Yvonne Mitchell. Film reżyserii Lee Thompsona przedstawia historię angielskiej rodziny urzędniczej, której po dwudziestu latach współżycia grozi rozbicie. Znużony monotonią mijających lat mąż spotyka kobietę, ktcra stanie się jego wielką miłością.

Żona Amy przez swą życiową niezaradność nie potrafi poprowadzić ustabilizowanego, spokojnego domu, jakiego mąż wyraźnie pragnie. Mimo najlepszych intencji Amy nie umie zorganizować życia mężowi i synowi.

Ta niezaradność zatrzyma jednak w końcu przy Amy męża, któremu uczciwość nie pozwoli odejść z domu. Swą decyzją unieszczęśliwia ukochaną Gorgie i siebie, a chyba problematycznie uszczęśliwia żonę.

Ten banalny schemat fabularny zyskał jednak wiele dzięki doskonałej roli „Kobiety w szlafroku". Mitchell zagrała Amy z wielką prawdą, bez wszelkich ozdobników. Gdyby szukać dla stylu Mitchell porównań, gra Anny Magnani przyszłaby nam z pomocą.

E.N.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

FLIP, FLAP i ogórki

Sezon ogórkowy w pełni — Flip i Flap na ekranach naszych kin. Ich pojawienie się porównać można z corocznym, prasowym wypływaniem potwora z Loch Ness w Szkocji. Podobnie jak ów potwór również chyba „Flip i Flap na bezludnej wyspie" stanowią ostateczność na jaką musiała dobyć się CWF, ażeby zwiększyć małe wpływy kasowe w pustawych ostatnio salach. Nie wiem, czy potwór z Loch Ness jest tak samo stary, jak filmowy żywot Flipa i Flapa? Faktem jest jednak to, że oba te zjawiska służą do wypełnienia szpalt prasowych i ekranów w tzw. sezonie ogórkowym. Anglo-amerykańska para komików Stanley Laurel i Oliver Hardy, powołana została do życia w rolach Flipa i Flapa przez wielce zasłużonego dla kinematografii światowej Macka Senetta w latach 1919—20 w znanej wytwórni filmowej „Keystone". Tej samej, w której pierwsze kroki stawiał przed kamerą Charlie Chaplin. Z całego szeregu aktorów komicznych filmu niemego właśnie Laurel i Hardy (a przede wszystkim Chaplin) przeszli do filmu dźwiękowego. Co było podstawą komizmu Flipa i Flapa? Najbardziej chyba

kontrast fizyczny ich sylwetek. Laurel był drobny, płochliwy, obdarzony piskliwym dyszkancikiem. Hardy zaś barczysty, chrząkający i pomrukujący jak niedźwiedź. Początkowo (z tego okresu datują się ich sukcesy i popopularność) grali oni tylko w krótkometrażówkach wyświetlanych jako dodatki do... kreskówek Walta Disney'a. Niestety nie powtórzyli swych sukcesów w filmie pełnometrażowym fabularnym, w którym zabrakło im oddechu do wypełnienia całego filmu gagami. To ostatnie stwierdzenie pasuje również do obecnie wyświetlanego u nas francuskiego filmu z udziałem Flipa i Flapa. Brakuje temu filmowi po prostu gagów. Komizm tu zaprezentowany jest bardzo staroświecki i

bardzo bliski zwykłemu wygłupianiu się. Dlatego też mimo protestów i gromów jakie mogą spaść na głowę recenzenta, ośmielam się zauważyć że komizm „Flipa i Flapa na bezludnej wyspie" nie jest tak świetny jak ten, który przynosiły najstarsze filmy z tymi komikami. Obecnie wyświetlany film stanowi jedynie dość sprytne wykorzystanie przez francuskiego producenta ich zróżnicowanych sylwetek i popularnych nazwisk.

MIESZANKA FILMOWA

ZNANA AKTORKA AMERYKAŃSKA SHIRLEY MAC LAINE, KTÓRĄ UJRZYMY NIEDŁUGO W FILMIE P. T. „GARSONIERA"

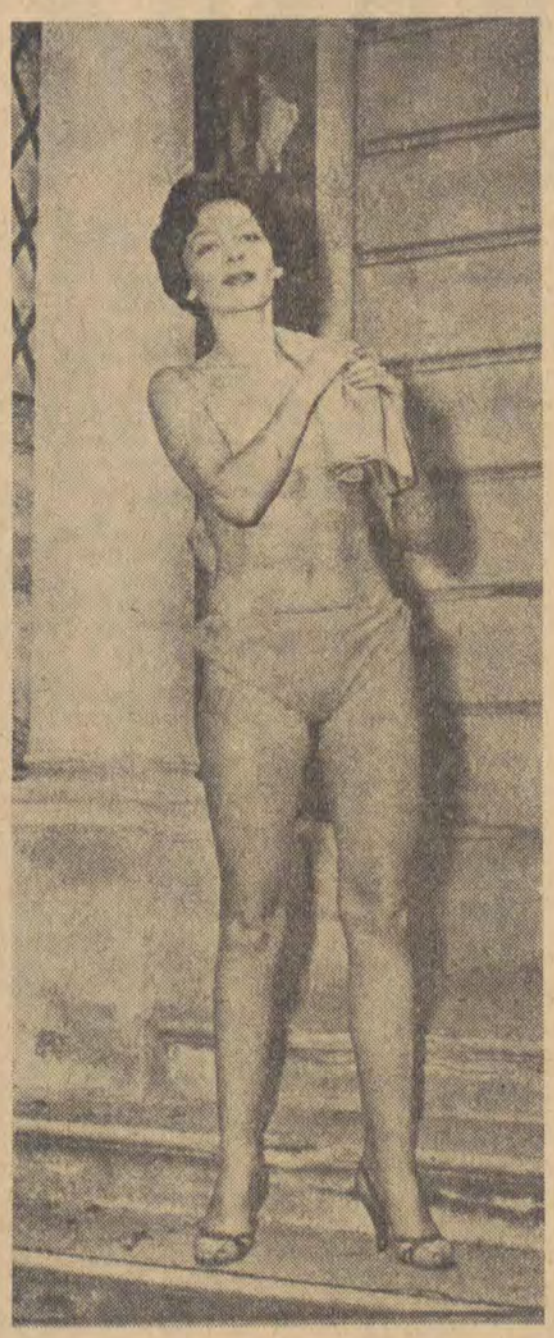

FRANÇOISE PREVOST MŁODA GWIAZDA FRANCUSKIEGO FILMU

MARCIN KOSTECKI

KINO z BLISKA

„Droga na zachód", „Dziś w nocy umrze miasto", „Kwiecień", „Świadectwo urodzenia", „Samson" (filmy o wojnie), „Milczące ślady", „Ogniomistrz Kaleń" (temat: „zaraz po wojnie"), „Drugi człowiek", „Nafta" „Przeciw bogom" (tematy współczesne) — oto prowizoryczne, z każdym dniem bardziej niepełne zestawienie całkowicie ukończonych filmów polskich. One to właśnie wyznaczą repertuar na początek nadchodzącego sezonu, już we wrześniu czeka nas 5-6 premier z okazji festiwalu polskich filmów. Jest wśród tych pozycji parę znakomitych, reszta — dobre; jak wieść niesie a zadowoleni reprezentanci CWF owe pogłoski potwierdzają — jeszcze nigdy nie mieliśmy w powojennym okresie tak wyrównanego poziomu. Fama dotarła już do zagranicznych dystrybutorów, w ostatnich tygodniach przeżywaliśmy inwazję delegacji handlowych, przywieziono nam szereg nader ponętnych propozycji. Nawet kinematografia czechosłowacka, z którą nasza wymiana handlowa układała się znacznie poniżej możliwości — postanowiła obustronne kontakty wydatnie rozszerzyć. Tyle naraz laurek i pomyślnych prognostyków handlowych, można by jeszcze wyrazić pewien optymizm odnośnie nadchodzących festiwali w Moskwie i Wenecji...

Patrząc jednak z bliska — oczami widza — nie wszystko w proponowanym repertuarze układa się tak pomyślnie, jak by wskazywały statystyki handlowe i przeciętne ocen artystycznych. Chodzi o tematykę tego repertuaru i o tzw. wachlarz gatunków. Z wymienionej dziesiątki filmów — aż pięć dzieje się w okresie minionej wojny. Dwa dalsze — tuż po wojnie (zostaje w nich zachowana dominanta „pirotechniki"). Zaledwie trzy — współczesnie. Jeszcze jaskrawsze anomalia występują w podziale na gatunki, w ogóle o takim podziale nie ma tu mowy — wszystkie dziesięć tytułów — to dramaty! Ani jednej komedii, ani jednego filmu muzycznego, kostiumowego, kryminalnego, ani łuła fantastyki..

Trudno obarczać odpowiedzialnością za ten stan rzeczy samych twórców, jak to chce w ogólnikowych i monotonnych pretensjach J. A. Szczepański. Ostatecznie wiadomo wszem wobec, że o skierowaniu do realizacji nie decydują nigdy sami reżyserzy i scenarzyści. Przeciwnie, mieliśmy w ostatnich czasach więcej niż kiedykolwiek propozycji kręcenia tematów współczesnych, form bardziej „chodliwych" wiązało się to ściśle z nadziejami twórców na wprowadzenie tzw. „tantiemizacji", ten system uzależnia zarobki autorów od frekwencji w kinach.

Nadchodzący repertuar stał się jednak rezultatem koncepcji „najlepsze wyniki (takowe rzeczywiście przyszły w aspekcie artystycznym) — droga najmniejszego ryzyka". Trudno nie spostrzec że ta właśnie tendencja dominowała rok temu, gdy obecnie ukończone filmy kierowano do realizacji.

STEFAN BRATKOWSKI

Był asystentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1956 roku wymyślił i zorganizował pierwsze „Juwenalia", razem ze swoimi krakowskimi przyjaciółmi. Od tego czasu „Juwenalia" stały się „tradycyjnym odwiecznym świętem krakowskich studentów". W 1957 napisał pierwszy reportaż i okazało się, że to jest właśnie rzecz, którą powinien robić. Jest przyjacielem Afanasjewa. Za najważniejsze punkty w swoim dorobku uważa odkrycie specjalisty od wzornictwa przemysłowego, Zygadlewicza, stworzenie legendy Sławy Przybylskiej, reportaż o PAP i zainicjowanie budowy autoskutera „DOD", w który nikt nie wierzył, a który w końcu — jeździ i zapowiada się bardziej rewelacyjni, niż się tego spodziewał Bratkowski. W bieżącym roku Bratkowski wraz z laureatem drugiej nagrody Konkursu OPISANIE ŁODZI J. Ambroziewiczem otrzymał III nagrodę im. Bruna, przeznaczoną dla młodych dziennikarzy.

Dlaczego jestem reporterem ?

Ludzie są pickielnie interesujący, a ja lubię się czegoś dowiadywać. Poza tym reportaż ma w sobie coś z włóczęgi i coś ze sportu, jest najprzyjemniejszym sposobem spędzenia wolnego czasu, jaki znam. Słowo honoru.

Aha, jeszcze jedno. Nie wiem, czy w jakiejkolwiek innej branży ludzie są tak dalece sobie wzajem przyjaźni jak w tej.

ŻYTO i

Dalszy ciąg ze str. 1

winno nikogo mylić; w rzeczywistości bowiem Retkinia—

NIE ISTNIEJE.

Jeśli można wyobrazić sobie miejsce, które ma przeszłość za sobą i przyszłość przed sobą, nie ma zaś teraźniejszości, to Retkinia znajduje się właśnie w takiej sytuacji. Czyli właściwie nie ma jej, prawda?

Dosyć to dziwne, jak na 6-tysięczną dzielnicę miasta.

III

A miejsce samo pachnie wilegiaturą. Burzowcem wprawdzie spływają tu ogólnołódzkie defekalia, niemniej burzowiec jest luksusowy i nowoczesny, nie psuje więc atmosfery. Nadomiar wiatry dmą w Retkinię najczęściej od zachodu, tłocząc brudne łódzkie powietrze nad Widzew i Chojny; z czego wynika, że klimat nie wiąże Retkini z Łodzią, pozostawiając tę rolę ekonomice, administracji, linii tramwajowej „19" oraz... historii. Choć kto wie, czy to nie klimat właśnie zaciążył nad przyszłością Retkini?

* * *

Pan Kozula mówi piękną polszczyzną, nie używając wszechznaczącego „ten-tego" i operując słownikiem wytrawnego polonisty. Ma ładny niewielki domek („... Retkinia jest dzielnicą domków. Kamienic tu ledwie parę i to malutkich...") i 18 złotych od jednego zabiegu inseminacyjnego; przy okazji — tą samą piękną polszczyzną — udziela fachowych porad hodowlanych, utrzymując się z uprawy 3 morgów niezbyt urodzajnego pola („Retkinia ma grunty piaszczyste; kiepskie, co tu dużo mówić").

Domek z kolei pana Zuberta za willę uważać trudno. Właściciel sklecił go z dwóch komórek gospodarskich; ogródka z małą atlanką pilnuje bojowy kundel „Łajka". Przy cieplejszej pogodzie pan Zubert przesiaduje wśród grządek, czytając „Problemy" i pogryzając daktyle „Lion of Babylon") („Rewolucja Kassemowska w Iraku otworzyła drogę do szerokiej wymiany handlowej między Polską a krajem kalifów; więc i daktyle...").

Senator Plocek, lub może ściślej — eks-senator Plocek, prowadzi swoje gospodarstwo za torem, okrojone nieco przez budowę niedalekiego lotniska; sadzi właśnie kartofle.

A na cmentarzu, bliżej miasta, pod eleganckimi nagrobkami spoczywają bataliony, starszych pokoleń Plocków, Zubertów, Kozulów, Witków, Durajów, Marszałków i Błochów. Ze stereotypowym „prosi o westchnienie do Boga" lub „pokój jego duszy". Chyba, że kto zmarł dzieckiem; wtedy — „powiększył grono aniołków".

Za parę lat nie stanie tu jednak ani domku pana Kozuli ani lepianki Zuberta, ani też chyba i tego cmentarza. Przetrwa jedynie domek dróżnika na strzeżonym przejeździe kolejowym (z telefonem wyłączonym od rozmów publicznych) i być może tylko pani Redke, jeden z dróżników, nie zmieni tu trybu życia — zawsze ten sam dyżur w samotności, książka na wolne chwile i ewentualnie „planowych przelotów" nieco więcej niż dzisiejsze 131 (131, bez lokomotyw i pociągów nadzwyczajnych").

Poza tym wszystko się tu zmieni. Bo Retkinia ma kolosalną przyszłość. Kolosalną!

IV

Przeszłość?

„Tworzy (Retkinia) tak długi pasek od wschodu ku zachodowi, że skoro jeden z parafian mocniej kichnie w jednym brzegu, wnet mu w drugim odpowiedzą „na zdrowie", jeżeli w kierunku szerokości, to choćby się po drugiej stronie i mocno ktoś zdrzemnął, niezawodnie się przebudzi" — notuje w 1912 roku pierwszy proboszcz Retkini, ksiądz Paweł Załuska.

A propos — ów ksiądz... Zupełnie wyjątkowa postać! Uosobienie rozmachu i energii, coś z renesansu na miarę polskiej wsi. Zakłada parafię, buduje kościół, organizuje kółko rolnicze, koło gospodyń, ochronkę, przedstawienia teatralne. Ojcuje Retkini, krząta się i rządzi, ba, trzęsie wprost spokojną wioszczyzną! Temperament aż kipi w tym pokornym służce bożym; kiedy doszło go, że pewnego Zuberta, „bardzo poczciwego młodzieńca" pobili uczestnicy jakiejś hulanki, jak stał, wprost od łoża chorego, w komży i stule, popedził w nocy z sołtysem do domu, gdzie trwała zabawa, a „widząc co się dzieje, pochwycił skrzypce od grajka i potrzaskał je w drobne kawałki o puste i niecne mózgownice hulaków, z których każdy w popłochu umykał, dokąd tylko mógł: do obórki, przez sień, na górę itd".

Jak wieść gminna niesie, nie stronił pono i od płci odmiennej ów zamaszysty patriarcha; pokornego serca też chyba za bardzo nie był, bo choć w wydanej z bratem książce (o Retkini i swojej działalności) skromnie się mianuje, przecież duma tchnie z każdej kartki — co też nie zrobił w tak krótkim czasie, czego nie potrafił!

Nie o wszystkim jednak głośno w jego zapiskach. W diecezji Najd. Pasterza (ówczesny kościelno-zawodowy skrót od Najdostojniejszy Pasterz), JE biskupa włocławskiego, Stanisława Kazimierza Zdzitowieckjego używano księdza Pawła do specjalnych, zdaje się, poruczeń, a jego społecznikowskie zacięcie miało swą wagę w kadrowych manewrach i planach kurii. Bo przecie parafii przedtem w Retkini wiekami nie było, choć ich wokół nie brakło: wiekami też retkiniacy chodzili i jeździli do Pabianic; bywało, że wracając od chrztu, uczciwszy święto libacją, gubili dziecko po drodze, a musiało być tych wypadków nie mało, skoro do dziś ustne wspomnienia przetrwały. Aliści prośby o przyłączenie do parafii łódzkiej (1828 r.: „Przedsięwzięliśmy zgłosić się do W. Komisarza obw. Łęczyckiego i zarazem upraszać jaknajpokorniej...") nie skutkowały. Dlaczegóż więc w 1907 r. Naj. pasterz nawet na własną parafię przystał?

Ślad jakowyś zachował się w notatkach księdza Pawła — „... dopiero groza położenia, jaka zawisła nad Retkinią z racji nagabywań socjalistów łódzkich, a szczególniej nad jej młodzieżą płci obojga, zmusiła (...) do skupienia się około tej sprawy...".

Ach, więc tu leży pies pogrzebany! Nie taki to — okazuje się — zacny pantagruelista ów ksiądz pleban (w innym miejscu zrównujący socjalistów z chuliganami), ani też bezinteresowny altruista... Bo szerzy się owa zaraza nawet wśród tego ludu „rdzennie polskiego, piastowskiego, głęboko religijnego (...), całą duszą przywiązanego do kościoła". Nie bez kozery ksiądz proboszcz podkreślił przy nazwisku pobitego Zuberta, że chodziło o spokojnego, poczciwego młodzieńca, nie zaś tego, co w Narodowym Związku Robotniczym — pomińmy ideologiczne szalbierstwa jego pryncypałów — bomby rzucał w przedstawicieli władz zaborczych. Ten był zdyscyplinowanym, ale członkiem bojówki; rzucał w kogo mu kazano. W Afanasjewa, Naczelnika Dyrekcji Naukowej i tak samo w generał-gubernatora Kaznakowa. Przy tym drugim zamachu wpadł i z fałszywym paszportem, pożyczonym od Antoniego Muchy, powędrował na Sybir z wyrokiem 15 lat katorgi...

Nie jedyny zresztą z Retkini tam wylądował. Także inny jeszcze Żubert, Wojciech, Józef Klimek i Konstanty Lewy. Ani słowa o tym u księdza Pawła. Bibuły wywrotowej także sławetny autor pamiętników nie odnotował na bardzo szczegółowej liście gazet abonowanych w Retkini — jeśli docierała na plebanię, to z pewnością bez zamówienia... A ślady jej wpływów nie liche być musiały, jeśli aż tak ciężkiego kalibru słowa z pióra pamiętnikarza spłynęły — „groza położenia"!

Nic dziwnego zatem, że ewentualny związek z Łodzią nie budził zachwytu kurii i jej Najdpasterza...

V

W rzeczywistości Retkinia ciążyła ku Łodzi zawsze odkąd... Łódź istniała. Bo Łódź... „Cóż Łódź? Retkinia ma prawie 600 lat, Długosz ją wymienie w liber beneficiorum, cóż więc Łódź ze swymi 450 laty?". Prawda, cóż to za satysfakcja mieć historię! Ani myślała pobożna księżna Judyta, żona Władysława Hermana, że imię jej zwiąże się kiedyś z reportażem o łódzkiej dzielnicy... W 1086 roku wymogła na księciu małżonku dar dla kapituły krakowskiej, kasztelanię chłopską (zwaną potem pabianicką): Retkini wonczas pewnie jeszcze nie było. Później gdzieś miała wychynąć na jakiejś wykarczowanej polanie, wśród puszczy prawego brzegu Neru. Knieje kapitulnej włości pełne były zwierza i nazwa Retkini wiedzie się podobno od byłych myśliwców, którzy osiadając na roli, porzucili (kinęli) „rety", sieci łowieckie...

Dzierżawcy łupili tu skórę chłopom nie gorzej niż gdzie indziej. I tak oto średniowieczni retkiniacy obowiązani byli — na świętego Marcina roczny czynsz zapłacić, 20 skudów i 3 grosze z łanu, plus 2 kapłony i 30 jaj; obrabiać ziemie folwarczne i łąki; podczas polowań ciągnąć do Piotrkowa sieci i przybory łowieckie; grodzić zamek pabianicki i sady; remontować i budować drogi, kryć dachami zabudowania dworskie, prócz tego — dziesięcinę „snopową" do stołu arcybiskupiego płacić, z odwiezieniem własnymi środkami; i dziesięcinę jeszcze z konopi, po 2 kity wartości 12 marek... Nic dziwnego, że w tej sytuacji proboszcze pabianiccy biadali, że im już nic ponad 1 grosz z dymu nie pozostaje, a i to zabierają na swe utrzymanie wikariusze...

Od czasu do czasu wyręczali lub uzupełniali dzierżawców w łupiestwie — bohaterscy nasi polscy rycerze i najemne żołdactwo podczas wojskowych przechodów. Od tych rozkoszy nie było już z rokiem toruńskiej uchwały w 1520 — żadnej ucieczki. W 1534 roku pewnego retkiniaka, który kupił sobie dom w Łodzi, osadzono w więzieniu. Kiedy uciekł z ciemnicy, wielmożny pan dzierżawca kapitulny mocą prawa go sprowadził i skazał na grzywnę 11 funtów pieprzu; nieszczęśnik nie próbował już prób ucieczki.

Na długo Łódź miała pozostać niedostępną ziemią obiecaną dla retkińskich przypisańców...

Trzeba oddać krakowskiej kapitule, że umiała dbać o swe odległe dobra. Czasem, gdy zdarzyło się, że klęski wojenne i żywiołowe zbyt mocno nadszarpnęły ekonomiczną wydolność pabianickiego klucza, kapituła organizowała dla włościan pożyczki które oczywiście — mimo nazwy jednej z instytucji pożyczkowej, „Mons Pietatis" — żadną filantropią nie były, jako, że kościół matka nasza zawsze był kuty w rachunkach, zwłaszcza po stronie wpływów; a kiedy zaborcy resztki już Polski krajali, kapituła nie zapomniała słać listów do Stanisława Augusta, by nie przeoczył w toczących się układach zastrzec rekompensaty od Prusaków za pabianickie dobra. Aliści w 1795 zjawili się tu Austriacy; kapituła pisze więc do namiestnika Galicji; mało tego, pcha umyślnego wysłannika do Wiednia. Skrupulatność zostaje w końcu nagrodzona: Odszkodowanie zapłacili Prusacy w 1803 roku do rąk kanonika Hołowczyca, 30 tysięcy złotych polskich, co między kanoników tytułem nadzwyczajnego dochodu sprawiedliwie podzielono.

VI.

Aż wreszcie łódzki przemysł sięgnął po retkińskie ręce do pracy. Dawni komornicy pierwsi zamienili się w robotników; za nimi poszła nadwyżka kandydatów do dzielenia ziemi przy spadkach. Obecność akuszerki, którą na kursy posłał ksiądz Załuska, zmniejszyła cyfrę umierających niemowląt i spowodowała w części, że w jednym pokoleniu dzieci bogatych rodziców zeszły do kręgu biedoty. Ojciec pana Wincentego Kozuli miał morgów 14; pan Wincenty, jeden z 5 obdzielonych synów, już tylko 3...

Że zaś biednym łatwiej o radykalne przekonania, następcy księdza Załuski nie bardzo już potrafią radzić sobie z „grozą położenia". Oto bogobojny twór księdza Pawła, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, pierwszy wali się pod natarciem czasów. Bo nowo powstałe „Wici" pod wodzą energicznych młodych ludzi, Klimka, Muchy, Świderskiego, Wicka Kozuli — zabiera KSM 60 proc. członków! I KSM dogorywa. Ksiądz Walecki wyklina z ambony pomysł dożynek wiciowych i „sobótki". — „Pogańskie, wsteczne obyczaje". Plebania nie scierpi ich w Retkini. Nie scierpi... i po jakimś czasie aranżuje własne, plebańskie dożynki, wydając nawet specjalne broszurki! Wicek Kozula grzmi na otwarciu wiciowego święta:

— Jakże to tak? To nasze pogańskie, a księdza proboszcza nie? Jakże to — trzy tygodnie temu złe, a teraz naraz dobre?

Baby ciągną Wicka za połę kurtki:

— Nie godoj, Kozula, na księdza nie godoj. Bój się Boga...

Ale Wicek się nie boi i to, że może się nie bać, oznacza wielki przełom. On i jego koledzy popularniejsi są wśród młodzieży bardziej niż sam ksiądz proboszcz. Konkursy hodowlane, kwiatowe, po których do dziś Retkinia dziedziczy miłość do ładnych ogródków; amatorskie przedstawienia teatralne, zabawy z przyśpiewkami, wszystko to stwarza „Wiciom" dobrą firmę. Najlepsze koło województwa! Bywają tu ogólnopolscy przywódcy. Ignar i Solarz, ojciec ludowych uniwersytetów...

Wielką politykę zaczyna się robić w małej podmiejskiej osadzie. Część PSL-owców zaczyna pod koniec paktować z sanacją, wyhandluje dla Płocka miejsce w senacie. Ale Ignacego Klimka z „Wyzwolenia" BBWR-owscy cwaniacy wykołują, pozbawią mandatu poselskiego, jaki miał dzięki swemu chłopskiemu stronnictwu; Klimek machnie więc ręką na sanację, kontentując się tym, że syn skończył wyższą uczelnię i został — sędzią (pan Jan Klimek jest nim zresztą do dziś i nadal mieszka w Retkini).

VII.

Kto może, wycąga łapę w kierunku tej rozpolitykowanej, szumiącej sporami wsi. Próbują swych sił i endecy. Na murach domków pojawiają się smołą chlapane hasła: Nie kupuj u żyda! Precz z żydo-komuną!

I wtedy dekonspiruje się

perspektywa

gruby mały bezrobotny telefonista Zubert, kolejno trzeci tego nazwiska „wywrotowiec" (nie wiadomo skąd właściwie biorący swe skłonności do tycia, bo jak mysz kościelna biedny i nieraz głodujący). Mały, gruby Zubert jest komunistą. On, szewc Chrzanowski, ślusarz Antek Kosyl, Stasiakowie i Ogłodziński, bokser. Jeśli spośród nich kto z czego jest znany, to Ogłodziński — ze swej mocnej pięści.

Jedno koło endeków rozsadzili od wewnątrz, wprowadzając doń swego człowieka, który był... szwagrem prezesa komórki (prezes nie mógł potem długo tego szwagrowi wybaczyć...). Drugie koło rozpadło się, gdy na zebranie przybyła drużyna z Ogłodzińskim na czele; Zubert zabrał głos, endecy porwali się do kastetów. Ogłodziński postąpił wtedy naprzód i zapytał — „No, co?" I tylko patrzył na nich. Przyjrzeli się oni jemu z kolei. Poszeptali chwilę i zaczęli wychodzić...

A w domu małego grubasa powielacz drukował setki odezw dla Łodzi. Strajk tramwajarzy, kolejarzy czy robotników sezonowych, powielacz odbijał ulotki — mimo najść policji i stałej inwigilacji.

Retkinia przechodziła z rąk do rąk, aż do uwłaszczenia, próbując się zbliżyć do Łodzi choćby „parafialnie". Pod prośbą do władz w 1828 roku postawił swoje trzy krzyżyki i prapradziad pana Wincentego Kozuli i prapradziadowie obecnych miejskich radnych Łodzi, retkiniąków, Siejki i Witka. Starania potem prowadzili i później sołtysi, a byli nimi — pradziad pana Kozuli, Jan i pradziad radnego Siejki, Andrzej. Bez skutku jak wiadomo. Łódź miała sama sięgnąć z czasem po Retkinę i to nie w parafialnych kategoriach...

Dumny charakter miał mały grubas. Kazał sobie w dokumentach skreślić „katolicką religię" i wpisać (czerwonym atramentem — „nie należy do żadnego wyznania". Starosta go wzywał, komisarz policji, pytali — „Czy pan jest komunistą, Zubert?" A bezrobotny telefonista odymał wargi i patrząc w oczy panu staroście odpowiadał — „Ja jestem człowiek prawdy, panie starosto. A kościół z kłamstwa żyje...".

W 29 roku ogrodnik Mateusz F. doniósł kurii, że robotnik sezonowy plantacji miejskich, Zubert, ubliża Bogu i kościołowi. Wezwano więc Zuberta. Stanął mały grubas przed obliczem ich Ekselencji biskupów Tymienieckiego i Tomczyka, księdza Nowickiego i... przedstawicieli policji. Denuncjator zjawił się także, pochylił się pokornie do ręki biskupiej, dłoń ucałować. Atoli robotnik sezonowy Zubert jak wszedł tak stoi sztywno. Więc biskup —

— Siadaj, moje dziecko.

Na co Zubert — mam własną matkę i własnego ojca, wypraszam sobie wchodzić w ich prawa. Obaj żeśmy obywatelami jednego kraju i podlegamy jednej konstytucji; możemy sobie przez „ty" mówić albo per „pan", jak PAN woli.

Biskupowi Tymienieckiemu, który sam słusznej był postury, aż kark potężny poczerwieniał... Przemógł się jednak i kazał czytać listę zarzutów.

Ksiądz Nowicki czytał i czytał. Poczem Zubert powtórzył, iż tylko tyle powiedział, że cudu nad Wisłą nie było, a bohater Skorupka nieuleczalnie chorował na brzydką chorobę.

— Czy wierzy pan w Boga?

Na co Zubert biskupowi tym samym — A pan wierzy?

I potem wyniana zdań krótka, cięta, na koniec mały grubas rzuca:

— Krew pijecie.

— Pańska nie.

— Mości panie, bom się od was uwolnił — tu z triumfem Zubert wyciągnął dokumenty i podetknął pod nos biskupowi. Próbował go jeszcze potem biskup przekonywać, obiecywał pracę, ale były telefonista krępił tylko głową — Nie. Sam sobie dam radę.

Niedługo potem siedział za demonstrację strajkową. Po opuszczeniu więzienia inwigilowano go stale, całymi latami głodował bez pracy, aż go znowu przyjęto na plantacje miejskie — pod warunkiem, że nie będzie się zajmował polityką. Przyczaił się, a dwa lata później wybuchła wojna i wyrównała wszystkie retkińskie i nie tylko retkińskie rachunki...

VIII

Wincenty Kozula pierwszy wziął się za konspirację (myślał nawet po wojnie swoją nienazwaną uliczkę ochrzcić „Konspiracyjną", ale dziś już nie ma po co; niedługo ani ta nazwa ani żadna tutejsza Rakietowa, Oszczepnicza, Burzliwa czy Tajemnicza nie będzie aktualna... Pomijając fakt, że i do tej pory układ ulic w Retkini z oficjalną mapą planu miasta nie miał nic wspólnego; mapa sobie, a Retkinia sobie). Tak więc Kozula wziął się za konspirację i już w 40 roku trafił do Oświęcimia (nr 9424!). Przetrwał siedem kacetów, odbicie nerek i niemal odpadanie mięsa od kości palców...

11 kwietnia 1945 roku wyszedł z Buchenwaldu, ważąc 36 kilo. Po Feliksie Swiderskim został jedynie piękny orzech włoski przy jego domku, wyrosły z sadzonki, zdobytej w wiciowym konkursie hodowli buraka cukrowego... Ksiądz Załuska zginął w Dachau. Mały gruby Zubert przeżył — gdybyż sam wiedział skąd mu sił starczyło! — 27 dni tortur i wyrok śmierci w Sondergerichcie, cudownym zbiegiem u denuncjatora i jedynego świadka oskarżenia znaleziono w czasie rozprawy — schowanego za pazuchą blaszanego orzeika.

Całą wieś wysiedlono do GG, osadzając tu bauerów, zwanych „wołyniakami" (byli to najprawdopodobniej ekskoloniści ze wschodu). 130 retkiniaków straciło życie. Mianoim pomnik stawiać, ale...

Nie ma co teraz stawiać pomników w Retkini.

IX

Ze starych, każdy co przeżył, po wojnie coś jeszcze robił. Kiedy im jednak sharatane zdrowie zaczęło odmawiać posłuszeństwa, opuszczali piastowane wysokie funkcje i stanowiska, osiedli z powrotem w swych domkach. Dzień zaś dzisiejszy ludzi młodych jest dniem Łodzi i oni też są już łodzianami; choć niby w Retkini, od 1945 oficjalnie już włączonej do miasta, nadal działa aktywnie kółko rolnicze („... proszę mi pokazać miasto z przeszło pół milionem mieszkańców i kółkiem rolniczym!"), ochotnicza straż pożarna („... popisy i próby w lecie co dwa tygodnie, jesienią konkursy. Dwa samochody, jeden nieczynny, bo brak szofera..."), koło gospodyń. Kiedy koło gospodyń urządza konkurs wypieków domowych, schodzi się chłopska Retkinia próbować tortów i ciastek, oceniać i gawędzić. Z kolei kościół, jak zawsze, służy jej za miejsce modlitw i rewię mody dla wiernych. Bez większych zmian. Ale nad Retkinią ciąży strach. Wychudły stary Wojtaszczyk, zmęczony astmą i uremią, siedzi w pogodne dni w ogródku, nie słucha, o czym rajcują baby w jego magiu, mówi — „No, ja już nie dożyję". A syn jego, urzędnik Łódzkiej Komendy Straży Pożarnych — „Nigdy nie miałem do czynienia z rolą. Ale nie cieszę się na przyszłość Retkini. Żal mi domku i ogródka".

Jeden z Durajów, właściciel warsztatu naprawy żarówek, postawił sobie niedawno willę. Teraz chce na gwałt sprzedać. Za 300 tysięcy. Ale kto ją kupi?

— Kto to kupi? — powiada pan Kusowski, kioskarz z budki „Ruchu" naprzeciw pustej willi Duraja („Idzie 30 tubek pasty do zębów tygodniowo, kilkadziesiąt kawałków toaletowego mydła, 110 „Expresów" i 50 „Przekrojów", gdyby dali więcej mydła „dziecinnego i „Przekroju", poszłoby także") — Nikt się naiwny nie znajdzie.

— Miasto ma już to do siebie, że musi się rozwijać — dodaje fryzjer Marszałek (48 lat, 34 lata pracy w zawodzie, dyplom członkostwa Klubu Fryzjerstwa Artystycznego; brat także fryzjer, zakład na Kopernika) — Retkinia ma 6 tysięcy ludzi, a tu stanie piękna nowoczesna dzielnica mieszkaniowa, dobrodziejstwo dla 120 tysięcy.

Ba, fryzjerowi łatwo to powiedzieć; w nowej dzielnicy ostrzyże więcej głów i więcej twarzy ogoli. Ale chłopska Retkinia głowi się — Może nadzielą sąsiedni państwowy majątek, Brus? Może wycenią ziemię wedle stawek jakie stosują przy obliczaniu spadków, wyżej, grubo wyżej od oficjalnej taryfy? Może to, może tamto? Wielkie dobrodziejstwo na skalę 120 tysięcy osób ma dla nich wymiar wielkiej klęski w skali kilkuset małych gospodarstw... Kozula mówi z irytacją — Paradoks polega na tym, że te gospodarki i tak nie mają szans ekonomicznego sensu. To bzdura; uprawiać rolnictwo na paru morgach...

I tylko Józef N. się nie przejmuje, świadek Jehowy („To jego sprawa" — powiadają dzieci z ulicy Zagrodniki), mieszkaniec jednej z trzech ostatnich, 150-letnich drewnianych chałup. Walila mu się belka stropowa, jedno dziecko zapadło na gruźlicę, drugie było jej bliskie; daremnie Józef N., brygadzista budowlany, dobry robotnik, wzywał Jehowę na świadka swej tragedii. Przyszedł Zubert, łysy gruby bezbożnik i powiedział — Słuchaj że, stary, ludzie ci pomogą.

I załatwił mu nowe mieszkanie w blokach. N. mówi, kiwając głową — A sam mieszka w lepiance...

Gruby mały Zubert śmieje się bezzębnymi ustami (27 dni gestapo) — Jednak ludzie lepsi od bogów. A co do daktyli („Rewolucja Kassemowska itd. itd."), to są łuskane, dzięki temu nie muszę obawiać się o zęby...

X

Sędzia Klimek ma zaś nadzieję, że gdy buldożery i spychacze, wjadą między retkińskie domki, waląc na siebie mury budynków i wgniatając w ziemię ogródki, retkińskie grunty wydadzą tajemnicę wieku osady: Bo kiedyś znalazł tu ze Świderskim starożytne naczynia i sprzęty, oddane dziś do muzeum. Może trafią się inne, ergo data 1398 roku okaże się wcale nie najwcześniejszym sygnałem istnienia Retkini

* * *

Jedno, sądzę, pozostanie tylko bez zmiany (nie licząc przejazdu kolejowego) — seminaryjne krowy nadal będą chodzić do buhaja na Brus...

STEFAN BRATKOWSKI

KAROL BADZIAK

GDZIE PLOTKUJĄ O WĘGLU?

„Czujemy się przytłoczeni potęgą techniki, aż nam wstyd, że jesteśmy tylko humanistami. Jednocześnie po obejrzeniu Elektrowni — rozpiera nas duma, że to osiągnięcie polskiej pracy, polskich mózgów i rąk".

Te słowa niekłamanego uznania wpisali członkowie wycieczki dziennikarzy i literatów, która odwiedziła niedawno Konin. I rzeczywiście, elektrownia tutejsza imponuje swym rozmachem, elektronową automatyką i innymi nowoczesnymi urządzeniami. Zwiedziłem wszystkie oddziały tego obiektu, a naliczyłem zaledwie dwadzieścia osób obsługi. Personel każdego działu nosi inne berety: obsługa stacji pomp — zielone, obsługa automatów — beżowe, obsługa silników — bordo. Wewnątrz budynku rosną palmy i kaktusy, a na zewnątrz róże. To już nie kwiatek do kożucha, ale do elektryczności.

A na początku był tylko węgiel. Nie, na początku nawet węgla nie było, tylko małe powiatowe miasteczko — siedziba administracji rolniczego powiatu wciśniętego między trzy województwa: łódzkie, poznańskie i bydgoskie. W czasie przetargów związanych z podziałem administracyjnym kraju przydzielono Konińskie Poznaniowi. Pomysł nie należał do najlepszych, ponieważ powiat ciąży w dalszym ciągu raczej ku Łodzi.

Węgiel brunatny odkryli w tym rejonie Niemcy podczas okupacji. Zanim jednak zdążyli rozpocząć eksploatację zostali przegnani przez wojska radzieckie. Robotnicy, którzy tu w czasie wojny pracowali, stali się po wyzwoleniu pierwszymi pionierami industrializacji. Żaden z nich nie pytał wówczas o wysokość pensji. Zamiast pieniędzy przynosili pierwszego do domu olej kokosowy. Nie przewidywali nawet, że to faktycznie będzie kokosowy interes. A może przewidywali?... Tak, chyba przewidywali. Zresztą, wtedy było za dużo roboty, aby mieć czas na spekulacje. Węgiel — to była wielka szansa, węgiel pod powierzchnią ziemi, który czekał miliony lat, aby go stamtąd wydobyć. Rozpoczęli od łopat, a zakończyli na czerpakach wydobywających w ciągu dwudziestu czterech godzin osiemnaście tysięcy ton burowęgla. Kolosy te, wielkości dwupiętrowej kamienicy zrosły się z tutejszym pejzażem. W machinie takiej jest coś z dinozaura, wielkiego prehistorycznego ssaka, który trzydzieści milionów lat temu zamieszkiwał te tereny, właśnie wtedy kiedy tworzył się tu „półfabrykat" tak cenionego surowca, jakim dzisiaj jest węgiel. Różnica tym, że współczesny dinozaur posiada stalowe ramiona i posuwa się po dwu parach stalowych szyn. W ubiegłym roku pod jedną z takich potężnych czerparek obsunęła się skarpa. Czerparka zarzyła się głęboko w ziemię i specjaliści niemieccy, którzy ją montowali, orzekli, że już nie da się jej uratować; trzeba ciąć na złom.

Opowieść ta wygląda trochę na wyjętą z kiepskiej literatury. Ale cóż na to poradzę, kiedy ekipa awaryjna z narażeniem życia przez siedem dni dokonywała podkopu, i machinę przywróciła do poprzedniej pozycji. Uratowano w ten sposób czterdzieści milionów złotych, bo taka jest cena owych maszyn.

Rozwój wielkiego przemysłu opartego na węglu brunatnym wymaga wysoko wykwalifikowanej kadry technicznej, którą sprowadzono z całej Polski. Zrozumiałe, że specjaliści technicy, inżynierowie, którzy tu zamieszkali, otrzymywali w pierwszej kolejności mieszkania z nowego budownictwa. To bolało tubylców zamieszkujących rudery i stare walące się domy. Ponadto też zarobki personelu inżynieryjno-technicznego są o wiele wyższe od zarobków małokwalifikowanych pracowników fizycznych. Na przykład studenckie małżeństwo, które tu przyjechało w 1957 roku, przez okres tych pięciu lat pobytu w Koninie dorobiło się lodówki, pralki, samochodu, żaglówki i tym podobnych wyznaczników współczesnego dobrobytu. A przecież wiadomo, przyjechali tu bez niczego.

Do wszystkich tych spraw dochodziła jeszcze dodatkowo fluktuacja kadry kierowniczej. Częsta zmiana osób na kierowniczych stanowiskach w kopalni nie sprzyjała wytworzeniu się więzi między załogą a dyrekcją. Obecny dyrektor jest trzynastym z rzędu na tym stanowisku.

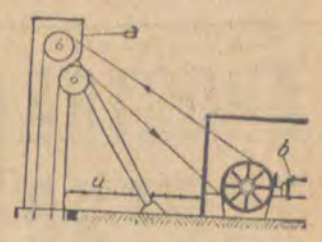

Żaden z jego poprzedników nie dał się poznać, nie potrafił zdobyć zaufania pracowników. Każdy z nich miał po prostu za mało czasu, — zbyt szybko odchodził.

Atmosfera w kopalni była ciężka: wywożono dyrektorów taczkami, bez przerwy trwały rozróbki, rozluźniła się dyscyplina pracy, zdarzały się częste kradzieże, kwitło chuligaństwo i pijaństwo.

Wypadek z czerparką, choć dramatyczny w swej istocie, okazał się zbawienny w skutkach. W czasie pracy ekipy awaryjnej członkowie nowego kierownictwa kopalni stali obok robotników narażając się w tym samym stopniu, na niebezpieczeństwo co i tamci. Wspólne niebezpieczeństwo zbliża ludzi. — A więc ci faceci, co tu do nas przyjechali — rozumowali robotnicy — nie tylko chcą zbić majątek i zrobić karierę.

A więc mimo woli życie na takiej wielkiej budowli rodzi patetyczne sytuacje. Bo oto przypadek sprawił, że za jednym zamachem odbudowano zaufanie między załogą i dyrekcją, uratowano czterdzieści milionów złotych i honor polskiego robotnika. Od tego momentu nawet kradzieże prawie ustały.

Słowo daję, wszystko niczym w bajce dla grzecznych dzieci. I oto ja, reporter ciemnej strefy życia, muszę pisać dziś optymistyczny reportaż. Robię to z przyjemnością. Konin, peryferyjny powiat w samym sercu Polski tętni nowym, mocnym życiem. To nie przesada, tutaj znajduje się

Dalszy ciąg na str. 8

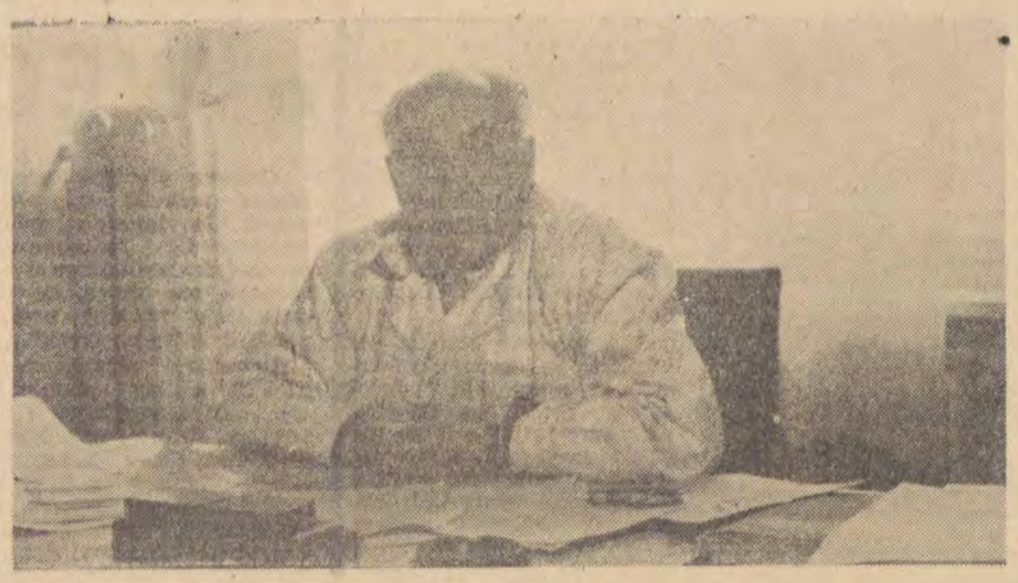

Pasjonujący życiorys

Kilka miesięcy temu Profesor ciężko zachorował. Zaszła konieczność dokonania poważnej operacji, co w wieku lat 86 jest szczególnie niebezpieczne. Mimo to Profesor nie chciał słyszeć o wyjeździe za granicę, gdzie operację wykonaliby najlepsi specjaliści. Uważał, że kiepskim byłby nauczycielem, gdyby tak właśnie zrobił. Został w Łodzi, dał się operować w kierowanej przez siebie klinice, operowali go jego asystenci. Operacja się udała.

Mowa o laureacie nagrody naukowej miasta Łodzi, Profesorze Doktorze Wincentym Tomaszewiczu.

Życiorys Prof. Tomaszewicza mógłby być świetnym materiałem na pasjonującą powieść biograficzną lub pamiętnik. Kontakty z ludźmi najróżniejszych środowisk, olbrzymi szmat życia, oraz to, że Profesor był nie tylko świadkiem wielu historycznych faktów, ale brał też w nich żywy udział — wszystko to warto by ująć w ramach nieco szerszych niż ten krótki z konieczności, okolicznościowy artykuł.

Prof. Tomaszewicz urodził się w roku 1886 jako syn powstańca z 63 roku zesłanego w głąb Rosji carskiej. Studia lekarskie ukończył w Moskwie mając 23 lata. Specjalizował się w chirurgii u znakomitych profesorów w Rosji i Szwajcarii. Brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Już w roku 1917 jest profesorem chirurgii ogólnej w carskim Jekaterynosławiu (Dniepropietrowsk).

Od roku 1922, to znaczny odprzyjazdu do Polski, jego działalność naukowa i zawodowa jest ściśle związana z Łodzią. Zwraca uwagę fakt, że Profesor nigdy nie ograniczał się do wykonywania swojego zawodu. Był lekarzem — społecznikiem w najlepszych tych słów znaczeniu. W roku 1926 jest już lekarzem naczelnym Kasy Chorych w Łodzi. Współinicjuje budowę sanatorium przeciwgruźliczego w Tuszynku. Dzięki jego inicjatywie buduje się szpital przy ul. Kopcińskiego. Dzięki jego wysiłkom powstaje również przychodnie w Zgierzu, Ozorkowie, Aleksandrowie i Pietrkowie.

W czasie okupacji Prof. Tomaszewicz zmuszony jest odejść od swojego zawodu. W ostatniej niemal chwili przed rozstrzelaniem zostaje Profesor na interwencję nieznanych osób zwolniony. Wyjeżdża wraz z rodziną do Warszawy. Jako lekarz zaczyna działać dopiero w roku 1944 i od razu w najtrudniejszych warunkach — kieruje bowiem punktem chirurgicznym na ulicy Długiej, w czasie powstania warszawskiego. Po wojnie przystępuje jako jeden z nielicznych do organizowania Uniwersytetu Łódzkiego. Jest pierwszym dziekanem Wydziału Lekarskiego i kierownikiem III kliniki chirurgicznej. Z kliniki kierowanej przez prof. Tomaszewicza wyszło dwóch docentów i czterech doktorów. Asystenci jego ogłosili drukiem 52 prace. A to tylko ostatni okres pedagogicznej działalności Profesora. Wielu jego uczniów z czasów, które nazywa „rosyjskimi" kieruje teraz katedrami. A wielka ilość prac naukowych Profesora? A tysiące pacjentów? Uczniowie?

Wszystko to świadczy o niebywałej energii i pracowitości. Nawet teraz, mimo podeszłego już wieku, Profesor jest niesłychanie aktywny. I mimo, że tyle zrobił, tyle dokonał, był bardzo zdumiony nagrodą. Gratulujemy szczerze, gdyż została Profesorowi jak najsłuszniej przyznana.

Pisarz łódzki

Jeszcze dwa lata temu przyznanie nagrody artystycznej miasta Łodzi Leonowi Gomolickiemu wywołałoby prawdopodobnie wiele protestów. Dziś po wydaniu dwóch powieści — „Ucieczki" i „Uprowadzenia Baucis", o których krytyka pisała prawie zawsze bardzo pochlebnie — protestów się już nie słyszy. Przyznanie nagrody artystycznej Leonowi Gomolickiemu jest jednocześnie uznaniem go i jego książek za zjawiska dla łódzkiej literatury i kultury najbardziej reprezentatywne.

Trzeba od razu powiedzieć, że osiągnięcie tych nie ostatecznych przecież sukcesów artystycznych było poprzedzone całymi latami pracy twórczej, całymi latami — jak powiada sam laureat — doskonalenia się.

Droga twórcza Gomolickiego zaczyna się jeszcze przed wojną. Drukował wtedy wiersze i eseje. Już po wojnie jego nazwisko coraz częściej ukazuje się na łamach prasy literackiej: „Kuźnicy", „Odrodzenia" i „Twórczości". Gomolicki uprawia wtedy przede wszystkim twórczość eseistyczną. Beletrystykę zaczyna pisać w roku 1949 wiążąc początkowo swoją twórczość z tematyką łódzką. Stopniowo oddala się od waskiego tematu regionalnego, obracającego się w eksploatowanych już szablonach i dalsze, a jednocześnie pierwsze, które się ukazały w wydaniach książkowych, powieści obejmują już i problemy, i tereny o wiele szersze. Gomolicki na ogół zgadza się z oceną krytyki, uważając za najlepsze ze swoich książek „Ucieczkę" i „Baucis". Ich popularność a swój artystyczny sukces przypisuje — za Maciągiem — faktowi, że są to książki leżące w serii powieści zachodnioeuropejskich, mówiących o krajach znajdujących się w szczególnym położeniu. Tematami tak samo ważnymi i — powołując się dalej na Maciąga — doniosłymi są: młodzież znajdująca się poza nawiasem życia społecznego, wychowywana w nienormalnych warunkach, a także — jak w „Uprowadzeniu Baucis" — stosunki międzyludzkie w warunkach również szczególnych. Aby dać obraz podziwu godnej pracowitości z jaką Gomolicki tworzy swoje książki, wystarczy powiedzieć, że pisze jedną nieraz i pięciokrotnie, przy czym poszczególne wersje czy redakcje różnią się czasem od siebie w sposób dość istotny.

Słyszy się dość często o pewnej zależności Gomolickiego od Faulknera, Gomolicki wymienia wśród swoich najulubieńszych pisarzy Camusa, Dürenmatta, Maxa Frischa i Gombrowicza. Poza pisana aktualnie psychologiczna powieścią o tematyce współczesnej w twórczych planach Gomolickiego leży napisanie współczesnej powieści o Łodzi, nie tylko to przecież świadczy o związkach pisarza z miastem, w którym żyje. Laureat nagrody artystycznej Leon Gomolicki w jakiś sposób pozostaje zawsze w kręgu spraw łódzkich, nam najbliższych.

APOSTOŁ ŻYWEGO SŁOWA

Fot. Kazimierz Łuczak

Tak jeden z członków jury Komisji Nagród Woj. Rady Nar. żartobliwie nazwał prof. Michała Orlicza. Naprawdę nie ma w tym cienia przesady. Pasja, z jaką prof. Orlicz od trzydziestu pięciu lat pielęgnuje sztukę żywego słowa — zadziwia. W ciągu ostatnich czterech lat laureat przeprowadził na terenie całego kraju (od Szczecina do Opola), ponad 580 odczytów, wykładów, seminariów.

Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że działalność prof. Orlicza na tym się kończy. Wykłady, seminaria to zaledwie cząstka jego ogromnej pracy. A zatem setki, tak jest, setki publikacji w prasie kulturalnej, codziennej, fachowej. A zatem wydana jeszcze w 1932 roku książka „Polski teatr współczesny" będąca jedną z pierwszych prób syntezy działalności teatrów w Polsce.

W latach 1922—32 prof. Michał Orlicz pełnił funkcje kierownika literackiego w słynnej „Reducie" Juliusza Osterwy. Nie zaniechał — rzecz prosta — działalności publicystycznej. Jego publikacje znajdują głęboki oddźwięk nie tylko w fachowej prasie polskiej. Oto co pisał w 1926 roku „Neues Wiener Tagblatt": „Orlicz jest bystrym obserwatorem teatru. Teatr nowoczesny nie posiada chyba rozumniejszego znawcy" i dalej „Co Orlicz powiedział jest chyba najmądrzejsze i najbardziej błyskotliwe wśród tego co w ostatnich latach mówiono o teatrze".

Trudno byłoby zresztą cytować wszystkie interesujące uwagi na temat publicystyki Orlicza — była ona bowiem i jest tak żywa i obszerna, że w ramach tej krótkiej noty wymienić wszystkiego nie sposób. Przypomnijmy tylko jeszcze — tak niezmiernie ważne dla propagandy naszej kultury za granicą — prace prof. Orlicza w wiedeńskim wydawnictwie „Polska dzisiejsza" gdzie redagował dział kultury i sztuki.

Ostatnio prof. Orlicz rozpoczął energiczną batalię o wprowadzenie lektoratu z zakresu żywego słowa w szkołach średnich i wyższych uczelniach. Z jego też inicjatywy rozpoczęto tworzenie Towarzystwa Krzewienia Kultury Żywego Słowa — ostatecznie jednak dokonuje się fuzji tego Towarzystwa ze Związkiem Teatrów Ludowych, którego prezesem zarządu wojewódzkiego został właśnie prof. Orlicz.

Nie jesteśmy, niestety, w stanie wymienić wszystkich prac i funkcji laureata. Jednak, jak widać z powyższego w ciągu trzydziestu pięciu lat działalności dokonał profesor dużej pracy. Dobrze więc, że nagroda WRN przypadła profesorowi Michałowi Orliczowi właśnie w jubileusz trzydziestopięciolecia jego działalności.

STARA ŁÓDZKA GWARDIA

„Treścią mego życia była służba publiczna dla dobra rodzinnego miasta i jego ludności a przede wszystkim ludności robotniczej".

Taka była odpowiedź prof. dr. Rosseta na pytanie dotyczące jego życiowego motta. Nie ma w tym cienia przesady. Za tym skromnym stwierdzeniem kryje się bowiem 40 lat wytężonej pracy, której większa część jest właśnie poświęcona Łodzi i jej mieszkańcom. Życie i praca prof. dr. Rosseta jest nierozerwalnie związana z Łodzią. Tu się urodził, tu chodził do szkół, tu też po zakończeniu studiów na Wydziale Prawa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, podjął pracę zawodową. Do roku 1951, a więc bez mała przez 25 lat pozostaje kierownikiem Wydziału Statystycznego Zarządu Miejskiego. W tym czasie powstaje wiele cennych prac takich jak „Roczniki statystyczne miasta Łodzi", które ukazywały się pod jego redakcją w latach 1922—47. On też zorganizował i przeprowadził spisy ludności w latach 1921, 1931, 1945 i 1948. W tym też okresie prof. dr. Rosset rozpoczyna badania nad warunkami życia klasy robotniczej w Łodzi. To ostatnie staje się nieomal życiową pasją profesora. Bada życie robotnika łódzkiego we wszystkich prawie jego przejawach. Stąd jego prace o warunkach mieszkaniowych, które urągały elementarnym wymaganiom higieny, o alkoholizmie, który się krzewił na tle tych warunków, o gruźlicy nękającej świat pracy, o prostytucji itp.

Drugą pasją Profesora jest praca naukowa i pedagogiczna. Z wyższym szkolnictwem jest związany od roku 1929. Przed wojną starszy asystent Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi — po wojnie kolejno: zastępca profesora, docent i profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego (na którym doktoryzował się w 1946 roku na podstawie pracy „Prawa demograficzne wojny") i Wyższej Szkoły Ekonomicznej. W obu tych uczelniach zorganizował i do dziś prowadzi katedry statystyki skupiające liczne grono pracowników nauki i doktorantów. W 1957 roku WSE, w której pełnił uprzednio funkcję dziekana i prorektora powołuje go na swojego rektora.

„To jeden z najsympatyczniejszych belfrów jakich znam" — powiedział mi któryś z jego uczniów. W gwarze studenckiej wyraża to duże uznanie dla Profesora jako opiekuna i pedagoga. Nie znaczy to, by był mało wymagający. Wprost przeciwnie, należy do tej kategorii wychowawców, którzy stawiają sobie ' swoim podopiecznym wysokie wymagania. W swych wystąpieniach wobec młodzieży zawsze podkreśla obowiązek rzetelnego stosunku do pracy. Prof. dr. Rosset uważa, iż właśnie to sprawiło, że pomiędzy nim a młodzieżą wytworzył się stosunek wzajemnego zaufania i przyjaźni.

Zaabsorbowany kierowaniem uczelni nie zaniedbuje pracy naukowo-badawczej. W ostatnich latach ogłasza szereg prac z zakresu demografii. Jedna z ostatnich, obszerne studium „Proces starzenia się ludności" jest właśnie tłumaczona na język angielski.

Nie sposób wymienić wszystkich prac prof. dr. Rosseta. Liczba ich przekracza 70 (mowa tylko o pracach ogłoszonych drukiem). Również trudno byłoby wyliczyć wszystkie stanowiska naukowe jakie prof. Rosset piastował i piastuje obecnie. Wystarczy chyba, jeżeli wspomnę, że był członkiem wielu delegacji na zagraniczne kongresy i konferencje naukowe, że wielokrotnie reprezentował nasze szkolnictwo za granicą, że posiada takie odznaczenia jak Order Sztandaru Pracy II klasy, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, dwukrotnie nadany Złoty Krzyż Zasługi oraz Medal 10-lecia PR.

„Jestem szczęśliwy, że wysiłek całego życia mogłem oddać swemu rodzinnemu miastu" — powiedział prof. dr. Rosset.

Dobrze się więc stało, że rodzinne miasto w uznaniu jego zasług przyznało mu tę wysoką nagrodę.

PROFESOR

Jeśli powiemy, że kierownik Zakładu Systematyki i Geografii Roślin UŁ prof. dr Jakub Mowszowicz jest uczonym, który poważną część swego życia poświęcił regionowi łódzkiemu — nie będzie w tym ani trochę przesady. Prof. Mowszowicz jakkolwiek urodził się w Wilnie i tam na Uniwersytecie Wileńskim rozpoczynał pracę naukową — z Łodzią związany jest niezwykle silnie. Jego „Przegląd flory łódzkiej" — ogromne dzieło, którego opracowanie zajęło mu 15 lat życia jest pozycją naukową niemal bez precedensu. Żaden region w Polsce nie posiada tak obszernej monografii dotyczącej roślin. Przy okazji ujawniono, że około 70 proc. polskiej flory spotykamy na terenie naszego województwa.

„Przegląd flory łódzkiej" był też właśnie (obok 110 innych prac naukowych prof. Mowszowicza) głównym powodem przyznania uczonemu nagrody naukowej Prez. Woj. Rady Narodowej.

Mówiąc o działalności naukowej i pedagogicznej (prof. Mowszowicz już drugą kadencję pełni funkcję dziekana Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UŁ) nie można zapomnieć o pracach popularyzatorskich laureata.

Jego publikacje na temat roślin wodnych, chwastów polnych czy ogrodowych mają ogromne znaczenie praktyczne. Trudno, rzecz prosta, niezorientowanemu pojąć ogrom tej pracy i jej niezaprzeczalną wagę. Dowodem tego niech będą dziesiątki listów, jakie prof. Mowszowicz otrzymywał od rolników po cyklu artykułów zamieszczonych w czasopiśmie „Gromada".

W kierowanym przez uczonego Zakładzie znajduje się zielnik zawierający 120 tysięcy arkuszy roślin. Z całej Polski przyjeżdżają do Łodzi naukowcy, aby z owego zbioru korzystać.

I pomyśleć, że w roku 1946, kiedy to prof. Mowszowicz objął kierownictwo katedry biologii na UŁ wystarczał mu tylko jeden niewielki pokoik. Dziś, w kilku pomieszczeniach Zakładu pozostały zaledwie wąskie przejścia między dziesiątkami szaf i regałów.

Bez wątpienia udział profesora w dokonaniu tej (nie bójmy się tego słowa) gigantycznej pracy — jest olbrzymi. Nic więc dziwnego, że w ślad za odznaczeniem Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski przyszło drugie zaszczytne wyróżnienie — nagroda naukowa Prezydium WRN.

Fot. Kazimierz Łuczak

Od Rzeczycy do Indii

Wyróżnienie jakie spotkało Antoninę Legutowską z Rzeczycy pow. rawski to nagroda nie tylko za długoletnią działalność artystyczną. Legutowska łączy bowiem w sobie dwie pasje — artysty i społecznika. Śmiało można powiedzieć, że w niczym, co działo się w Rzeczycy, w żadnej akcji społecznej nie brakło udziału artystki.

A w Rzeczycy działo się sporo. Od niespełna roku wioska otrzymała światło, również od niedawna istnieje tu ośrodek zdrowia, działa kółko rolnicze oraz energiczne koło gospodyń.

Ale pozostawmy na razie kobietę-społecznika i wróćmy do artystki. Antonina Legutowska na pytanie od kiedy zajmuje się tkactwem artystycznym i wycinankami odpowiada z uśmiechem: „Dawno, bardzo dawno". W każdym razie była wtedy bardzo małym dzieckiem. W pierwszych wystawach brała udział jeszcze przed wojną. Na jednej z nich — pamięta — otrzymała pierwszą nagrodę. Nagroda była solidna, realna rzekłbym namacalna dosłownie i w przenośni — wieprzek. Potem w latach powojennych przyszły inne wystawy i inne nagrody. Dyplomy, listy pochwalne wreszcie Złoty Krzyż Zasługi za całokształt twórczości artystycznej. Piękne, barwne tkaniny i koronkowe delikatne wycinanki Antoniny Legutowskiej od małej wystawki w Opocznie rozpoczęły wędrówkę po całym świecie.

PISARZ spraw najbliższych

Grzegorz Timofiejew jest pisarzem łódzkim. Za tym stereotypowym stwierdzeniem kryje się wiele. Chodzi bowiem nie tylko o to, że pisarz w Łodzi się urodził, kończył (jak Tuwim, Piechal, Karpiński) Gimnazujm Piłsudskiego. Chodzi przede wszystkim o to, że niemal cała twórczość Timofiejewa grawituje w jakiś sposób wokół naszego miasta, jego spraw i ludzi.

Po ukończeniu studiów filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim, Grzegorz Timofiejew wraca do Łodzi. Tu w roku 1935 wydaje swój drugi tom wierszy, tu w latach 1930-31 redaguje postępowe pismo „Prądy". Stąd wreszcie w kwietniu 1943 roku wywieziony zostaje przez hitlerowców do Oświęcimia a następnie do Mauthausen Gusen.

Kiedy wojna się kończy, pisarz, jak się nietrudno domyśleć, wraca do swego miasta. Wtedy to publikuje tomy wierszy „Wysoki płomień", „W stronę jutra", a później w 1958 roku „Gorycz wierzbiny" wydaną już przez Wydawnictwo Łódzkie.

To samo Wydawnictwo wydało Timofiejewowi dwie powieści: „Miłość nie zna zmęczenia" i „Człowiek jest nagi". Ten drugi utwór drukowany był na łamach „Odgłosów" i jak wiemy cieszył się dużym zainteresowaniem czytelników.

Obecnie pisarz pracuje nad trzyczęściowym cyklem pod ogólnym tytułem „Trudna wolność". Będzie to jak gdyby kontynuacja akcji powieści „Człowiek jest nagi". Tematem bowiem „Trudnej wolności" jest powrót więźniów do Łodzi i walka o utrwalenie władzy ludowej.

Grzegorz Timofiejew jest pisarzem łódzkim. Oznacza to — wdzięczność i sympatię łódzkiego czytelnika, oznacza ścisły związek ze środowiskiem. Związek, nieprzerwanie od trzydziestu lat, łączący Grzegorza Timofiejewa z mieszkańcami Łodzi.

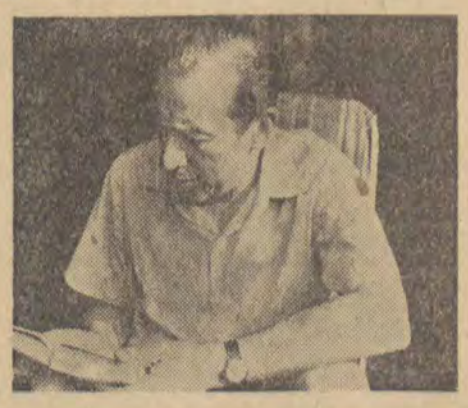

Kto zakładał w Bratsku Komsomoł?

Już w maju można się kąpać w Obi w Nowosybirsku.

czyli

SYBERYJSKIE POLONICA

KORESPONDENCJA WŁASNA Z ZSRR

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

Nie mam zamiaru wylamywać się z konwencji, która każe reporterom w każdym zakątku świata znajdować Polaków, komunikuję więc i ja, że pierwszymi osobami napotkanymi w Nowosybirsku byli dwaj inżynierowie z Nowej Huty. Wracali właśnie z Kuzbasu zdumieni faktem, iż hutnicy radzieccy z takich samych pieców uzyskują o kilkanaście procent wyższe wytopy.

Ci dwaj byli tylko zapowiedzią, iż na olbrzymich połaciach Syberii słowa „Polska" i „Polak" spotyka się co krok i w przeróżnych konstelacjach.

Dźwięk nazwy „Sybir" w polskich uszach nie ma najlepszego brzmienia. Automatycznie kojarzy się on z rzędami kibitek ciągnących po bezkresnej bieli. Całkiem inaczej dla odwrotnej strony medalu, „Polska" dla Sybiraków jest pojęciem wywołującym odruch szacunku i sympatii.

U nas nie wygasły jeszcze w narodowej psychice rany, zadane rękami caratu i nikt nie uprzytamnia sobie, iż ofiara polskiej krwi i polskiego potu pozostawiła trwały, wiekopomny ślad na Syberii. Wątła to pociecha dla tych, których dziadowie czy ojcowie sczeźli w nieobjętej tajdze. Ale historia ma na tę sprawę chłodniejsze spojrzenie. Wkład naszych rodaków w dzieło cywilizacji Syberii jest olbrzymi i wysoko oceniany w świadomości jej obecnych mieszkańców.

Niekiedy ma to formę niemal anegdotyczną. Co drugi irkuczanin przyznaje się do dziadów, a choćby krewnych — Polaków. Ogromnie zainteresował mnie sympatyczny towarzysz, który w sekrecie oświadczył, iż wywodzi się w prostej linii od księcia Druckiego — Lubeckiego. Gdyby nie fakt, że w dwa dni później poznałem drugiego „potomka" tej zasłużonej /zwłaszcza dla Łodzi/ familii, gotów byłem pisać pasjonującą opowieść genealogiczną...

W dziwnym mieście Jakucku, gdzie przez osiem miesięcy utrzymuje się sześćdziesięciostopniowy mróz, a przez dwa — iście saharyjski upał, gdzie okna mają szyby trzywarstwowe, domy zaś buduje się na palach, by nie odtajały wiecznej marzłoty twardej jak granitowa opoka, wspomnienia o Polakach są szczególnie ciepłe. Nudnawy Sieroszewski ma tutaj rangę najwybitniejszego klasyka polskiej literatury był bowiem pierwszym pisarzem, który dał wyczerpujący obraz niezwykle interesującego narodu Jakutów. Edward Piekarski zestawił pierwszy, olbrzymi słownik encyklopedyczny języka jakuckiego w 13 tomach, do dziś dnia najlepsze źródło badań naukowych nie tylko dla językoznawców, lecz także dla etnografów. Jeśli można dziś odtworzyć dokładny obraz myśliwskiej jurty lub przebieg ludowego święta wiosny Ysch — to głównie dzięki mrówczej pracy Piekarskiego.

Lecz najbardziej znane w tym kraju jest nazwisko, którego nie ma w polskich encyklopediach: Apolinary Rydzyński. On to, na czele szczupłego oddziału krasnoarmiejców, pokonał białogwardzistów, którzy jeszcze długo po rozgromieniu Wrangla i Kołczaka utrzymywali w ryzach niedostępny kraj nad Leną. On szturmem zdobył Jakuck i ustanowił w nim władzę radziecką. Gdy w czerwcu ubiegłego roku staruszek Rydzyński zmarł w Moskwie, Jakutia pogrążyła się w ciężkiej żałobie.

Pouczające są wizyty w syberyjskich muzeach. Wszędzie jest gablota, pomiędzy Dekabrystami a rewolucjonistami roku 1905, poświęcona polskim zesłańcom politycznym. Ich praca nad poznaniem Sybiru pozostawiła trwałe odbicie w historii.

Było ich 18.000! Benedykt Dybowski jako pierwszy poświęcił się studiom nad warunkami fizykalnymi i fauną Bajkału. Mimo, że jego warsztat badawczy — na przykład głębinowy termometr własnej konstrukcji — może wzbudzać uśmiech niedowierzania naukowców posługujących się współczesnymi instrumentami, bardzo wiele ustaleń Dybowskiego nie straciło wartości po dziś dzień. Również prognozy Jana Czerskiego, dotyczące geologii Przybajkala, potwierdzają się w wynikach najnowszych prac naukowych. Archeologiczne badania Witkowskiego naprowadziły na ślad starych kultur syberyjskich — wybitnego historyka radzieckiego Okładnikowa. Aleksander Czekanowski jest ojcem chrzestnym łańcucha gór między Leną i Olenikiem, które pierwszy zbadał i opisał. Nazwiska uczonych Zienkowskiego, Godlewskiego, Bromskiego zamarły już w pamięci Polaków, ale wciąż są żywe wśród mieszkańców Syberii.

Gdy po ostatniej wojnie Armia Czerwona oswobodziła południową część Sachalinu, zastano tam... polskich misjonarzy. Władza radziecka zagwarantowała im swobodę praktyk religijnych, oni całym swym autorytetem poparli władzę radziecką.

Jak widać — mało jest miejsc, gdzie nas nie ma. W roku 1945 i w roku 1961. Do Jakucka, kilka tysięcy kilometrów od Warszawy, dotarła wystawa polskiego plakatu. I, jak sądzę, miała większe nawet powodzenie niż nasi misjonarze na Sachalinie... Słyszałem wiele wyjątkowo pochlebnych opinii o różnych panach, których nazwiska nie były znane jakuckim „oglądaczom". Tyle samo prawie o niektórych polskich pismach ilustrowanych, mianowicie — nie uwierzycie być może — o „Szpilkach" i „Filmie". Przy czym owa dobra opinia wyraża się nie tylko w samych sądach, które zbierane przez zainteresowanego reportera mogłyby przecie być zawodne, ale — w cyfrach sprzedaży. Otóż w najbardziej zapadłych dziurach można dostać owe pisma. Powie ktoś — „też mi reprezentacja...". Proszę państwa, śmiem powiedzieć, że o kulturze kraju, tej w sensie ogólnym, świadczą nie „Przeglądy Kulturalne" czy Kwartalniki Nukleoniczne", ale właśnie poziom takich masowych czasopism jak dwa wymienione, jeśli Syberia kupuje „Film", to nie świadczy źle o Syberii, ale — bądźmy nieco megalomanami — o nas świadczy przynajmniej dość dobrze. Słowo honoru. Co tu dużo zresztą mówić — aktorki z irkuckiego teatru, które nigdy nie widziały Gustawa Holoubka nawet na ekranie, dopytywały się o niego z dużym, naprawdę niekłamanym zainteresowaniem...

Kontakty Syberii z Polską nie ograniczają się jednak do kontaktów gazetowych. Trzeba oto państwu wiedzieć, że w Szczecinie, na ulicy Pogodnej mieszka pewien sympatyczny starszy pan, którego nazwisko ma ogromne dziś znaczenie dla nierównie bardziej ogromnego kolosa energetycznego w Bratsku, dla budowniczych i pracowników słynnej elektrowni. Z owych budowniczych i pracowników duży procent to członkowie Komsomołu, a właśnie pan Stefan Zawadzki 41 lat temu zakładał w Bratsku Komsomoł... Komsomolcy z Bratska utrzymują stałą korespondencję ze starszym panem mieszkającym w Szczecinie, ostatnio zaś — „prigłasili go" na swą budowę. I pan Stefan Zawadzki pojedzie... W czasie, kiedy Bratsk był maleńką wioską o której istnieniu wiedzieli tylko administratorzy odpowiedniej gubernii czy „oblasti", nie przypuszczał prawdopodobnie, że kiedykolwiek trafi jeszcze w te strony...

Nie będzie to wprawdzie wizyta, fetowana przez międzynarodowe agencje i serwisy radiowe, ale — tak myślę niemniej serdeczna i niemniej charakterystyczna dla naszych czasów...

GDZIE PLOTKUJĄ o WĘGLU?

Dokończenie ze str. 5

przecież najstarszy kamienny słup drożny z datą 1151 roku, oznaczający połowę drogi pomiędzy Kaliszem a Kruszwicą. Jest to jedno z najstarszych miast Polski, o którym wspomina nawet starożytny geograf Ptolomeusz.

Tak więc powiat przez wieki zajmujący się rolnictwem obecnie uprzemysławia się intensywnie i urbanizuje. Obok starego miasta wyrosło już nowe pięciotysięczne osiedle, które za kilkanaście lat będzie liczyć sobie siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Zapas węgla, jaki się w tym powiecie znajduje, obliczono na sześćset milionów ton. Za pięć lat powstanie tu druga elektrownia w Pątnowie, która wspólnie z gosławicką da ponad tysiąc megawat. Dla porównania dodam, że największa w Polsce elektrownia Jaworzno II daje w tej chwili trzysta megawat. Obecnie wybiera się tu z ziemi ponad dwa i pół miliona ton węgla rocznie, a za cztery lata po oddaniu do eksploatacji nowej odkrywki w Kazimierzu Biskupim będzie się wydobywać rocznie 6.180 tys. ton. 5.400 ton pochłonie elektrownia, 47 tys. brykietownia, a 270 tys. ton pójdzie między ludzi. W najbliższych latach rozpocznie się budowę huty aluminium, drugą co do wielkości po Skawinie. Ponadto powstaną zakłady przeróbki ligitów produkujące węgiel aktywowany i generatorowy, zakłady ceramiki budowlanej, warsztaty naprawcze maszyn górniczych, brykietownia, fabryka mleka w proszku, zakłady przetwórstwa owocowego i tak dalej i przemysł, przemysł, przemysł...

Oczywiście ten prężny rozwój inwestycji nie pozostaje bez wpływu na życie okolicznej ludności. W promieniu kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu kilometrów, przeobraża się wieś, widać nowe murowane domy, znikają typowe dla tego powiatu słomiane strzechy. A przecież kilka lat wstecz, pierwszych ludzi, którzy dokonywali tu badań geologicznych chłopi szczuli psami. Niedawno jeszcze ludność jednej z wiosek ustawiła się protestacyjnie na torze kolejki przewożącej węgiel z odkrywki do brykietowni. Dziś ci sami chłopi przysyłają swoje dzieci do technikum górniczego. Zawód górnika jest w dużej estymie.

Jednym z ciekawszych rysów kształtującej się tu nowej obyczajowości jest fakt emocjonalnego stosunku do spraw, które dzieją się w kopalni. Na przykład podczas awarii wspomnianej już czerparki DS — 1200 wydarzeniem tym wstrząśnięte były nawet sprzątaczki i kelnerki z miejscowej restauracji. Jedna z kobiet powiedziała do mnie: — „Ta maszyna jak przestała pracować, to bardzo smutnie wyglądała.

W Koninie wszędzie mówi się o węglu: mówi się na imieninach, na uroczystościach rodzinnych i podczas gry w brydża. O węglu się nawet w Koninie plotkuje, co na prowincji jest chyba wyrazem największego zainteresowania dla sprawy.

Se non è vero è ben trovato.

KAROL BADZIAK

CUKIER może być słodki

HAITI — ZADANIE SPECJALNE (III)

Chłopska rodzina przed chatą

Trzy godziny lecieliśmy już nocą nad Kubą. Trzy godziny strachu, że nagle odkryją naszą dwumotorową maszynę i rzucą się za nią w pościg... Pod nami nareszcie rozciągały się popękane grzbiety gór Sierra Maestra. Gdzieś w dole, ukryta w gęstej dżungli, leżała kwatera główna Fidela Castro i jego partyzantów. Świecące wskazówki zegarka wskazywały północ, kiedy mój towarzysz chwycił mnie za ramię:

— Niech pan spojrzy tam... El Macio. Jesteśmy na miejscu... Nachyliłem się i tysiąc metrów poniżej ujrzałem rzędy równoległych, płomiennych punkcików.

— Zapiąć pasy! Lądujemy!

El Macio było to polowe lotnisko partyzantów, a rzędy błyszczących punkcików składały się z palących się pochodni.

Po dziesięciu minutach uplasowałem maszynę na ziemi. Potoczyliśmy się kilkaset metrów i wyłączyłem motory. W czerwonawym świetle pochodni rozpoznałem znajome twarze przyjaciół.

— Camilo! — zawołałem. — Gue pasa? Co dobrego?

Broda olbrzyma kłuła mi twarz.

— Jack, amigo mio...

— Przywiozłem wam pistolety. Dużo pistoletów...

— Przydadzą się...

ORGANIZOWANIE WIELKIEJ SENSACJI

Kwatera główna Fidela Castro leżała na wysokości 1.700 m. ponad poziomem morza, w gęstej dżungli, ukryta wśród skał, między którymi wiła się tylko jedna wąska ścieżka. Tuzin chat pokrytych trzciną, po prawej dla mężczyzn, po lewej stronie dla kobiet, w środku dom el comandante, wybudowany bardziej solidnie, z anteną na dachu. Na podwórcu grupki uzbrojonych barbudos, wychudłych, z rozwichrzonymi brodami, w podartych mundurach, zmęczonych, obszarpanych, ale z błyszczącymi oczami. Camilo ulokował mnie na łóżku polowym, zasnąłem natychmiast. Obudzono mnie jeszcze przed świtem.

— Komendant chce z panem natychmiast rozmawiać.

Fidel przyjął mnie w skromnym pokoju za stołem z nieheblowanego drzewa. Paliła się lampa naftowa. W rogu stał nadajnik radiowy.

— Senor — powiedział — znów uczynił nam pan wielką przysługę.

Następnie zaczął wypytywać o Hawanę, jak rozwija się nowy hotel amerykańskiego monopolisty Hiltona, o przygotowania... do wyścigów samochodowych o Wielką Nagrodę Kuby, czy wielu Amerykanów przybędzie na tę imprezę...

Byłem zaskoczony. Zamiast rozważań o podziemiu pytania tego typu.

— Na pewno zjedzie się mnóstwo turystów...

— Typowe dla burżujów. Walczymy na śmierć i życie o wolność naszego kraju, a jankesi zabawiają się w kasynach gry, spędzają beztrosko czas w luksusowych hotelach, przyglądają się wyścigom.

Zaśmiał się szyderczo.

— Dobrze. Dostarczymy im sensacji nie byle jakiej.

— Co planujecie?

— Armando otrzymał rozkaz porwania słynnego automobilisty Juana Fangio i w ten sposób uniemożliwienia odbycia się wyścigów.

— Co sobie przez to obiecujecie?

— Wielką wrzawę.

— Potrzebny wam jeszcze większy rozgłos?

Sumienie świata jest niestety nadal głuche na to, co się dzieje na Kubie. Trzeba uderzyć w duży dzwon, aby je poruszyć. Znając zresztą temperament naszego ludu porwie go to również do większych czynów.

Zgodziłem się z tym poglądem.

— To nie wszystko. W kilka dni później Armando dokona ataku na pałac Batisty, aby zlikwidować dyktatora, zaś José Antonio Echeverria opanuje radiostację i ogłosi rewolucję. Chce pan współdziałać?

— Myślałem, że mam przeprowadzić atak powietrzny na Campo Columbia...

— Rozpatrzyliśmy wszystkie za i przeciw. Zbyt niepewne przedsięwzięcie. Ale przy zamachu na pałac Batisty może pan wyrobić sobie imię, które będzie znane na Kubie nawet za tysiąc lat.

— Według mnie wasz obecny projekt jest samobójstwem.

REMIS PLUS MYSZOŁÓW

Różnimy się więc w poglądach — powiedział Fidel po chwili. Mam w takim razie inne polecenie. Jak pan może wie, nasz ruch posiada 62 grupy zagranicą, po całej Ameryce Południowej. Zebrały one dla nas dary. Ich delegaci przybędą w tym tygodniu na Haiti, aby przekazać pieniądze naszemu zaufanemu człowiekowi. Poleci pan do Port-au-Prince i z powrotem.

— Z kim?

— Z Raulem. Dziś w nocy start. Na marginesie — słyszałem o pańskiej sztuce z bazooką. Czy z pistoletu też pan tak dobrze strzela.

— Jeszcze lepiej.

— Muy bien. Może urządzimy konkursowe strzelanie? Zwycięzca dostaje trzysta dolarów.

— Zgoda.

Po wzejściu słońca ustawiliśmy się przed dwoma tarczami. Wokół nas kilkunastu partyzantów. Fidel wyciągnął pistolet i nacisnął pięć razy. Cztery kule siedziały dobrze w tarczy. Barbudos zaklaskali.

Ustawiłem się wraz z moją bronią, wypaliłem błyskawicznie i ściągnąłem piątym strzałem przelatującego akurat myszołowa. Podszedłem do tarczy.

— Cztery trafienia, comandant. Nierozstrzygnięte...

Fidel spojrzał na mnie rozpromieniony.

— Fantastycznie. Byłby pan świetnym instruktorom dla moich ludzi.

— Sorry. Nie lubię dżungli. Wolę miasta i pilotowanie.

Castro wziął mnie pod ramię.

— Widzę, że Raul będzie pod dobrą opieką. Odpowiada pan głową za niego.

ERROL FLYNN GRAŁ PARTYZANTÓW

Wylądowaliśmy na plantacji trzciny cukrowej, 18 km. na północ od Port-au-Prince na Haiti. Pojechaliśmy do miasta wozem właściciela. Rozległe przedmieścia z prymitywnymi chatkami z gliny. Nad dachami z falistej blachy powietrze wibrowało od gorączki. Smród śmieci, zgniłych ryb i stęchłej wody nie pozwalał oddychać. Pełno dzieci z nóżkami jak zapałki, z brzuszkami rozdętymi od głodu, czarne, półnagie.

— Zupełnie tak samo jak u nas na Kubie — powiedział Raul. — Wielcy posiadacze utrzymują płace na tak niskim poziomie, że poziom życia nigdy się nie może podnieść. Oto jedna z chorób, które usunie nasza rewolucja...

Zniknęły lepianki. Teraz po obu stronach widniały jasne, nowoczesne domy, wypielęgnowane ogrody pełne palm, wspaniałe wille.

Usiedliśmy na tarasie pięknego hotelu i zamówiliśmy śniadanie.

— Czy pan zna swego słynnego redaka, aktora Errola Flynna?

— Nie osobiście.

— Był niedawno w naszym obozie. Fidel mówił przecież, że na obecnym etapie zależy nam na rozgłosie. Flynn przywiózł ze sobą trzy dziewczyny z Hollywood. Jak gdyby to miała być jeszcze jedna wyprawa przeciw wymuskanym podlotkom. Z naszej kwatery zrobił prawdziwe studio filmowe.

— Komiczne.

— Bardzo. Powoli polubiliśmy go...

— Walczył może?...

— Musiałem mu dać własną eskortę, bo inaczej dawno złamałby sobie kark wraz z całym haremem. Jeździł po zaminowanych drogach, wpadał pod ogień granatów, a raz o mało nie dostał się w ręce żołnierzy Batisty...

— Zrozumiał coś?

— Uważał, że to najweselsza trzytygodniowa wycieczka jaką w życiu zrobił. Nieodrodny Amerykanin. O, przepraszam...

OBIECYWAŁ SOBIE DROBNOSTKĘ...

W pokoju Raula poprawiłem rewolwer pod łopatką i rozpiąłem marynarkę, aby broń było widać od razu. Odpowiadałem przecież za życie brata komendanta.

Pierwszym z delegowanych był niski, tłusty, w białym jedwabnym garniturze, butach z krokodylej skóry i błyszczących brylantach na grubych paluchach.

— Raffael Mendoza — przedstawił się. — Przedstawiciel sekcji Miami. Przywiozłem 30 tys. dolarów i listę ofiarodawców. Moje nazwisko figuruje jako pierwsze.

Wytarł sobie łysinę i twarz uperfumowaną chustką.

— Aby dowieść jak bardzo czuję się powiązany ze sprawą pańskiego brata, mam jeszcze dodatkową sumę 20 tys., zebraną wśród mojej rodziny.

— Co pan sobie obiecuje? — zapytał Raul.

Mendoza uśmiechnął się.

— Drobnostkę, niewartą wspomnienia... Posiadamy plantację w Matanzas. Sąsiednia należy do dr Montezy, kuzyna Batisty. Jeśli po wyzwoleniu posiadłość doktora zostanie skonfiskowana, to mógłbym administrować oboma plantacjami i biednym campesino dostarczyć więcej pracy.

I mniej pieniędzy, pomyślałem.

— Nie zapomnimy o panu — oświadczył chłodno Raul, a po wyjściu grubasa wrzucił podarte listy do kosza. — Po co mają nam kłuć oczy po zwycięstwie...

Inni delegaci z Meksyku i Wenezueli, Peru i Argentyny, Brazylii i Urugwaju nie zawsze byli tacy jak ten z Miami, choć czasem zdarzali się jeszcze ze specjalnymi życzeniami.

... Wszedł nowy delegat. Biednie ubrany. Nie przywiózł dolarów, lecz peso. Pyskował na bogaczy był za upaństwowieniem przemysłu, podziałem ziemi... Miał tylko jedno serdeczne życzenie: móc wkrótce walczyć w dżungli u boku Fidela.

Nic w nim nie wyglądało na prawdziwe. Wypielęgnowane palce nie pasowały do złego garnituru, zaś modnie ostrzyżone włosy do turystycznego biletu. Peso też były zbyt nowe... Postanowiłem być czujny.

Niestety nie mogłem przeszkodzić Raulowi, który zdołał już, zafascynowany

Kobiety walczyły również. Oto jedna z nich w rozmowie z siostrą będącą „w cywilu".

STRESZCZENIE

Wybitny matematyk, profesor Rauch zostaje schwytany przez zbrodniarzy wojennych, Kraftstudta i spółkę, którzy zorganizowali ośrodek zatrudniający ludzi o wyraźnych zdolnościach matematycznych. W oczach świata profesor Rauch uchodzi za zmarłego (w wypadku samochodowym); jego zdjęcie w żałobnych ramkach umieściły gazety. Zbrodniarze proponują profesorowi współpracę. Prof. Rauch odmawia, w następstwie czego zostaje poddany badaniom które mają określić jaki jest kod sygnałów dla ustroju nerwowego profesora"

Zgodnie z danymi „spektrum" zaczęto mnie „wychowywać" z zastosowaniem częstotliwości, która powodowała takie poczucie siły woli, że mogłem zdobyć się na każdy nawet najbardziej szaleńczy czyn. Dlatego też nie było mi trudno zdobyć się na bohaterstwo tego rodzaju, jak symulowanie utraty woli. Klęczałem bezmyślnie i powtarzałem tępo za głosem z megafonu modlitewne brednie, stawiące Kraftstudta. Oprócz modlitwy wpajano we mnie jako nowicjusza niektóre prawdy z zakresu neuro - cybernetyki. Sens owej niedorzecznej nauki polegał na tym, że miałem zapamiętać, jakim częstotliwościom impulsów odpowiadają te lub inne uczucie ludzkie. W moich planach na przyszłość decydujące znaczenie miała częstotliwość, która pobudza dyspozycje matematyczne, jak również inna, która na moje szczęście była bliska granicy dziewięćdziesięciu trzech herców.

„Wychowanie" trwało tydzień, a kiedy wydawało się, że jestem już dosyć uległy, zasadzono mnie do roboty. Pierwsze zadanie, które otrzymałem do rozwiązania, polegało na analizie możliwości strącania w powietrzu w czasie lotu rakiet międzykontynentalnych.

Całości obliczeń dokonałem w przeciągu dwóch godzin. Wynik nie był pocieszający dla tych, którzy chcieli znaleźć osłonę w artylerii przeciwrakietowej — okazało się bowiem, że strącenie rakiety międzykontynentalnej jest niemożliwe.

Następne zadanie miało także charakter wojenny, związane było z obliczeniem natężenia wiązek neutronów, potrzebnych dla wywołania wybuchu bomb atomowych przeciwnika. Tutaj odpowiedź wypadła także niepomyślnie. Działo neutronowe musiałoby ważyć kilka tysięcy ton. Nie ma mowy, żeby można było zbliżyć się z nim do magazynów bomb atomowych przeciwnika.

Zadania te rozwiązywałem rzeczywiście z wielką rozkoszą i z pozoru wyglądałem na pewno tak samo opętany pracą, jak i pozostali obliczeniowcy. Ale generator, zamiast uczynić ze mnie istotę bezwolną, przeciwnie wszczepił we mnie moc ducha i pełnię radosnego podniecenia. Wspaniałe uczucie odwagi i pewności siebie nie opuszczało mnie nawet w przerwach, przeznaczonych na odpoczynek. Udawałem, że śpię, a w skrytości ducha obmyślałem własne plany odwetu.

Gdy skończyłem zadanie, opracowywane dla ministerstwa wojny, zacząłem w myślach (żeby nikt o tym nie wiedział) rozwiązywać najważniejsze dla mnie zadania matematyczne — jak rozsadzić od wewnątrz ośrodek obliczeniowy Kraftstudta.

„Rozsadzić" — to oczywiście wyrażenie metaforyczne. Nie miałem przecież ani dynamitu ani trotylu i żadnej możliwości dostania go, tu w murach „przybytku mędrców". Obmyśliłem coś całkiem innego.

Jeśli generator impulsowy Pfaffa może wywoływać u człowieka wszelkie uczucia i stany emocji, dlaczego więc nie posłużyć się nim, by zaszczepić w świadomości nieszczęśliwych ofiar uczucia gniewu i buntu. Gdyby to się powiodło, ludzie ci potrafiliby sami wystąpić we własnej obronie i rozprawić się z bandą zbrodniarzy. Ale jak to uczynić? Jak zmienić częstotliwość, pobudzającą dyspozycje matematyczne, na częstotliwość wzbudzającą w człowieku uczucie nienawiści, gniewu, wzburzenia?

Pracą generatora kierował jego twórca, podstarzały doktor Pfaff. Widziałem tego starca owego dnia, gdy zdejmowano mi spektrum ustroju nerwowego. Prawdopodobnie był to inżynier o jakichś skłonnościach do sadyzmu, który rozkoszował się tak piekielnie wypaczonym tworem własnego intelektu. Pastwienie się nad godnością człowieka stało się celem jego myśli inżynieryjnej. Nie mogłem się więc spodziewać jakiejkolwiek pomocy ze strony Pfaffa. W swoich zamierzeniach nie brałem go wcale pod uwagę. Generator powinien zacząć pracować w przedziale potrzebnej mi częstotliwości bez jego pomocy i wbrew jego chęciom!

Kiedy wreszcie rozwiązałem to najtrudniejsze dla mnie zadanie, przekonałem się raz jeszcze, jak wspaniałą nauką jest fizyka teoretyczna! Operując wzorami i równaniami, zdolna jest ona nie tylko przepowiadać przebieg rozlicznych zjawisk fizycznych w przyrodzie, lecz także pozwala ratować życie ludzi.

Generator impulsowy doktora Pfaffa, bez względu na jego schemat, jest obliczony faktycznie na wytwarzanie energii elektrycznej określonej mocy. Wiadomo, że jeżeli generator impulsowy zostanie przeciążony, to znaczy, jeśli pobierać od niego moc większą, niż zaprojektowana, to częstotliwość jego początkowo powoli, później zaś gwałtownie, spada. To znaczy, że w wypadku, gdy zostanie podłączone do niego dodatkowe obciążenie w postaci oporu omowego, można spowodować jego pracę nie w przedziale częstotliwości, jaką wskazują przyrządy, lecz w przedziale częstotliwości o wiele niższej.

Dyspozycje matematyczne ludzi ośrodka obliczeniowego Kraftstudta były eksploatowane w przedziale dziewięćdziesięciu trzech herców. Uczucie gniewu i wzburzenia powstaje u ludzi przy działaniu pola zmiennego o częstotliwości osiemdziesięciu pięciu herców!

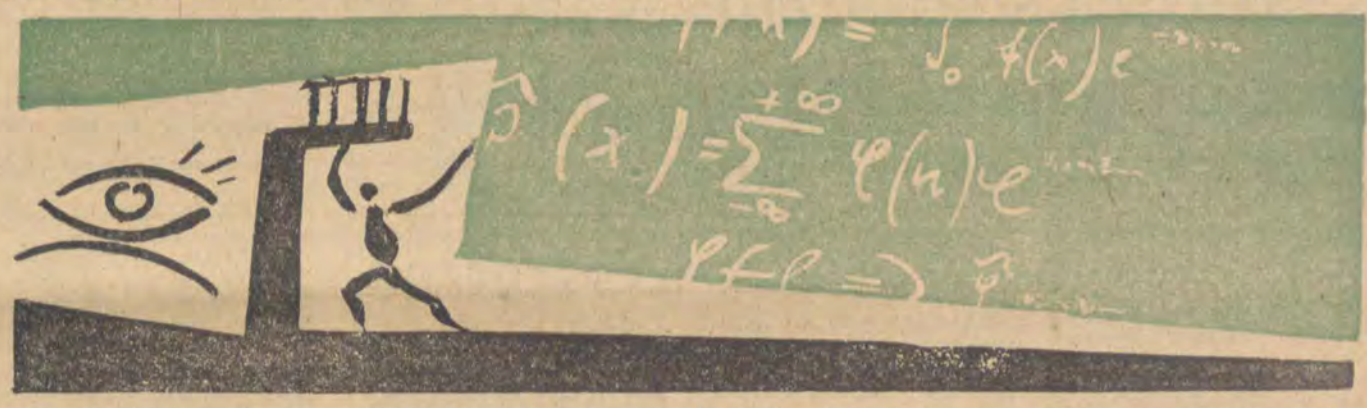

Aby dokonać tego należy obliczyć wartość obciążenia dodatkowego dla generatora.

Gdy byłem w laboratorium doświadczalnym, zauważyłem tam dane woltomierza i amperomierza na osłonie siatkowej generatora. Iloczyn obu tych wielkości określił mi moc generatora. Teraz należało jeszcze rozwiązać zadanie matematyczne, dotyczące dodatkowego obciążenia...

W myśli przedstawiłem sobie schemat podłączenia do generatora wszystkich owych gigantycznych kondensatorów, w których przebywali ci nieszczęśni ludzie. W myśli rozwiązałem równania Maxwella dla danego układu kondensatorów i wyznaczyłem wartości wektora natężenia składowej elektrycznej i magnetycznej pola. Wprowadziłem do tych wielkości poprawki na energię, pochłanianą przez znajdujących się w kondensatorach ludzi, i w ten sposób ustaliłem wartość mocy, którą zużywa generator na pobudzanie dyspozycji matematycznych obliczeniowców.

Okazało się że rezerwa mocy, jaka pozostawała u doktora Pfaffa, wynosiła tylko półtora watt.

Te dane wystarczyły mi do rozstrzygnięcia zagadnienia, jak zamienić częstotliwość dziewięćdziesięciu trzech herców na osiemdziesiąt pięć.

Należało uziemić jedną z płyt kondensatora za pomocą oporu wartości tysiąca trzystu pięćdziesięciu omów.

Te równania Maxwella rozwiązałem myślowo w przeciągu czterdziestu minut, a kiedy otrzymałem wynik, omal nie krzyknąłem z radości.

Ale jak tu dostać kawałek przewodu o takiej wartości oporu? Opór musi być sprawdzony bardzo dokładnie, gdyż inny spowoduje zmianę częstotliwości na nieprzewidzianą i odmienną niż wymagana, co w rezultacie nie da zamierzonego efektu.

Łamiąc głowę nad tym problemem praktycznym, od rozwiązania którego zależało powodzenie całego planu, byłem już gotów gryźć samego siebie, rozwalić głowę o biurko, jak ten matematyk, którego widziałem w stanie rozpaczliwego szaleństwa. Gorączkowo sprawdziłem w myślach wszelkie możliwości skonstruowania z możliwie wielką dokładnością oporu o wymaganej wartości, nic jednak nie mogłem wymyślić. Świadomość bezsiły doprowadziła mnie do skrajnej rozpaczy, chociaż przez cały czas wydawało mi się ciągle, że jestem tuż, tuż od rozwiązania i tego problemu.

I kiedy tak, ściskając rękoma głowę, gotów byłem już zawyć nieludzkim głosem, wzrok mój padł na czarny kubek z plastyku, stojący na brzegu biurka. W kubku znajdowały się ołówki. Było tam z dziesięć ołówków — każdy innego koloru i każdy przeznaczony do czego innego. Natychmiast porwałem pierwszy z brzegu i obracając go przed oczyma, przeczytałem, że to ołówek „2B", co oznaczało, że jest bardzo miękki. Rysik miękkiego ołówka zawiera dużą ilość grafitu dobrze przewodzącego elektryczność. Dalej znalazłem ołówki „3B", „5B" a wreszcie ołówki serii „N", twarde, przeznaczone specjalnie do pisania przez kalkę. Obracałem w palcach ołówki, a mózg mój pracował gorączkowo. Wtem, nie wiedzieć skąd, przypomniałem sobie opór właściwy rysików ołówkowych. „Ołówek „5N" posiada opór rysika równy dwu tysiącom omów". W mgnieniu oka miałem już w ręku ołówek „5N". Moje równania Maxwella znalazły rozwiązanie nie tylko teoretyczno-matematyczne, lecz także i praktyczne. Trzymałem oto w swoich rękach kawałek rysika oprawionego w drewno. Przy jego pomocy zamierzałem rozprawić się z tą bandą barbarzyńców.

Mocno zacisnąłem w dłoni ołówek, tak jakby był najdrogocenniejszym przedmiotem, i ostrożnie, niemal z czułością schowałem go do kieszeni. Dalej zacząłem obmyślać, jak zdobyć dwa kawałki przewodu, żeby jeden podłączyć do płyty kondensatora, drugi zaś do kaloryfera, w rogu pokoju, a między nimi umocować rysik ołówka.

d. c. n.

---

przybyszem, wyjawić termin naszego odlotu, a nawet miejsce ulokowania samolotu.

Po godzinie przybysz, nazwiskiem Gomez, pożegnał się, zapowiedziawszy nową wizytę...

SKŁÓCIŁY NAS RAKIETY

Kupiliśmy broń za 313 tysięcy dolarów. Omówiliśmy z właścicielami małego szmuglerskiego parowca miejsce w prowincji Oriente, gdzie mieli wyładować broń.

— Przy pomocy tego zastrzyku — cieszył się Raul — zdobędziemy Oriente i rozpoczniemy marsz na Hawanę. Pańscy rodacy nie będą wówczas mogli dostarczać Batiście rakiet z bazy w Guantanamo...

Był zły i miał rację. Kilka dni temu USA przekazały Batiście 300 pocisków rakietowych, choć było to już dawno po ogłoszeniu zarządzenia rządu amerykańskiego o zakazie dostarczania broni dla stron walczących na Kubie.

— Niech pan przestanie krakać o wrogach z zewnątrz. Nasi wrogowie siedzą wewnątrz Kuby. Nasi wrogowie to wy Amerykanie. Do was należą luksusowe hotele i spelunki gry w Hawanie, wy panujecie nad naszym przemysłem i kontrolujecie kopalnie oraz skarby mineralne, do was należą wielkie tereny na wyspie. Wy jesteście prawdziwymi panami na wyspie, jak gdyby okupowały ją wasze wojska...

Tego dnia już nie rozmawialiśmy...

POSYPAŁ SIĘ PIASEK...

Księżyc rozlewał swe mleczne światło nad plantacjami. Raul rozwierał metr po metrze ciężkie wrota szopy, w której znajdował się samolot. Wszedłem do środka. Czekałem, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Powoli zacząłem dostrzegać zarysy maszyny i w tym samym momencie usłyszałem szelest.

— Uwaga! — krzyknąłem i podbiłem nogi Raula.

Rozległ się trajkot pistoletu maszynowego. Nad naszymi głowami rozgwizdały się kule. Raul odczołgał się do tyłu, za drzwi. Podskoczył do wozu po swój rewolwer.

Leżąc usiłowałem zasunąć wrota. Raul powrócił, przycisnął się do ściany i zaczął ostrzeliwać wnętrze szopy.

— Ostrożnie, samolot! — zawołałem.

Przez dziesięć minut leżeliśmy cicho jak myszy. Nagle skrzypnęły boczne drzwi. Obejrzałem się. Napastnik wyjrzał, postąpił jeden krok i rzucił się naprzód... Zobaczył mnie i podniósł pistolet. Nasze strzały rozległy się prawie jednocześnie.

Piasek posypał się o dłoń od mojej twarzy.

Lepiej trafiłem. Blada postać zachwiała się i upadła. Raul podskoczył i odwrócił wroga na plecy.

— Gomez! — wykrzyknął.

Podniosłem się. Otrzepałem spodnie. Raul wyciągnął portfel z marynarki zabitego i podniósł legitymację do oczu. Gwizdnął.

— To nie Gomez, a Justo Blanco...

— Co za Justo?...

— Jeden z najgroźniejszych agentów tajnej policji Batisty...

W świetle latarki kieszonkowej zbadałem maszynę. Na szczęście nie doznała większych szkód. Nie znalazłem też maszyny piekielnej, ani innych niespodzianek. Wystartowaliśmy o godz. 4.03.

RAZ JESZCZE RAKIETY

Lecieliśmy dokładnie godzinę i dziesięć minut, kiedy pod nami wypłynął wschodni brzeg Kuby. Raul trącił mnie w ramię i wskazał na lewo. Poznałem sylwetkę bombowca B-26, który zbliżał się do nas z dużą szybkością i z kubańskimi znakami rozpoznawczymi. Mimo porannego chłodu zrobiło mi się gorąco.

— Skryj się pan! — krzyknąłem. — Chcą nam przyjrzeć się z bliska.

Sięgnąłem po pistolet maszynowy. Dobrze wykalkulowałem. Bombowiec dogonił nas, a następnie zaczął zbliżać raz jeszcze od przodu. Otworzyłem okienko z lewej strony, lufę pistoletu położyłem na ramię i czekałem.

Sylwetka pilota była coraz ostrzejsza. Krótko celowałem i nacisnąłem spust: serie pocisków wyrwały się do przodu...

Pilot bombowca schylił się błyskawicznie, przerzucił maszynę na lewe skrzydło i ostrym łukiem pociągnął do dołu.

— Trafiony! — wrzasnął Raul.

— Zawracanie głowy. Takim pistoletem i z tej odległości nie dokona tego żaden człowiek. Na razie wystraszył się tylko...

Teraz ja przechyliłem maszynę na prawo i pomknąłem w dół w kierunku wybrzeża. Po drodze zobaczyłem wznoszący się z powrotem ku górze bombowiec.

Ląd był już pod nami. Przeskakiwaliśmy nisko nad górami i wzgórzami. Po kwadransie byliśmy pewni, że bombowiec już nas nie odkryje.

O szóstej wylądowaliśmy na małym lotnisku polowym. Był już najwyższy czas, bo zbliżała się godzina przybycia statku z bronią. Barbudos zaciągnęli samolot pod drzewa. Raul wydał rozkaz, aby nadciągnęły wszystkie ciężarówki i zeszliśmy na brzeg morza. Pachniało słoną wodą i zgniłymi wodorostami. Czekaliśmy godzinę, dwie...

— Są!

Na horyzoncie ukazała się chmurka dymu. Najpierw mniejsza, później większa. Rozpoznałem zarysy statku, następnie ludzi, poruszających się po pokładzie. Dojrzałem już nawet jasne skrzynki z ładunkiem...

Wysoko w górze zagrzmiało brzęczenie, coś błysnęło. Smukły samolot przechodził do lotu koszącego. Po sekundzie od maszyny odłączyły się pociski rakietowe i z przeraźliwym sykiem pomknęły w kierunku statku. Amerykańskie rakiety...

Dobrze trafiły, za dobrze. Nastąpiły dwie małe eksplozje, buchnął płomień i potężny huk o mało nie przyprawił nas o pęknięcie bębenków.

Drzewo i części żelazne unosiły się setki metrów w powietrzu, spadały do morza i tworzyły niewielkie fontanny. Ciśnienie powietrza zgięło palmy i zarosła na wybrzeżu, prysnęło nam piaskiem w twarze i kroplami wody.

Myśliwiec zatoczył jedno koło i odleciał na wschód.

Raul pobiegł po plaży. Woda zamoczyła mu nogi. — Ach wy świnie — krzyczał biały z wściekłości.

Barbudos stali milczący, z nienawiścią i wrogością na twarzach. Trzeba przeżyć takie wypadki, aby zrozumieć dlaczego nas, Amerykanów, tak często nienawidzą.

ZA TYDZIEŃ:

* SZYKUJĘ PODARUNEK DLA FIDELA * TERESA OSTRZEGA * INTERES Z BILLEM I ROZMOWA Z BATISTĄ * CZY POSTRADAM PAZNOKCIE?

Kwitujemy odbiór

„Apollo z Bellac"

Telewizyjna adaptacja tej błyskotliwej, iście francuskiej komedii Jean Giraudoux, powtórzona po latach w polskiej telewizji nic nie straciła ze swego blasku i dowcipu. Przeciwnie, w okresie letnich ogórków, z prawdziwą satysfakcją smakoszów oglądaliśmy znakomite kreacje Adama Hanuszkiewicza, Kaliny Jędrusik i Jacka Woszczerowicza w tekście raz lirycznym, raz ironicznym, tematycznie oscylującym ku psychologii, ale lekkim, niefrasobliwym, pełnym optymizmu i humoru. Jak rozumieć ten spektakl, czy są w nim jakieś „drugie dna", jakieś morały? „Apollo z Bellac" jest rzeczą napisaną znakomicie dla telewizyjnej sceny, jest sztuką kameralną i tematycznie zasadzającą się na tych możliwościach jakie telewizja stwarza, a więc kameralności nastroju, małej obsadzie, frapującej intrydze pierwszego planu zdarzeń i drugiego planu domysłów rodzących się u widza. Dlatego było coś, co przykuwało nas do ekranów, coś z innej poetyki niż kryminalne zagadki „Kobry". Było to humanistyczne piękno intrygi leżącej u podstaw spektaklu, odwieczna zagadka: na ile człowiek brzydki może być piękny i czy jest piękny, jak wielkie jest znaczenie poczucia własnej wartości, ile zdziałać może ludzka życzliwość.

Dlatego nie ma powodu do zmartwień, czy były „jakieś drugie dna", jakiś morał niechwytany w locie, jakiś wydźwięk? Było tylko to co każdy pojął, odczuł, zrozumiał, obejrzał: znakomity spektakl.

(m)

Co piszą inni?

Gatunki sceniczne na małym ekranie

Artykuł niniejszy jest — podobnie jak poprzedni — w dalszym ciągu oparty na materiałach zawartych w 6/61 numerze „Dialogu". Red.

Jednak nie jest tak, aby utwory życzliwie przyjmowane na scenie były tym samym równie przydatne dla telewizji; odnosi się to zresztą już nie tylko do poszczególnych pozycji, ale nawet do całych gatunków.

Tak na przykład nie udaje się w telewizji farsa wymagająca kontaktu z widzem, stałego śledzenia jego reakcji, aplauzu tego widza i jego śmiechu. Po wielu niepowodzeniach angielskie BBC radykalnie zmieniło taktykę: po prostu zawarło umowę z jednym z teatrów na prawo retransmisji sześciu sztuk rocznie, przy czym na spektakle zaprasza się wybraną, określoną publiczność, co pozwala na utrzymanie kontaktu z widzem a jednocześnie niejako poddaje ton telewizyjnemu odbiorcy.

Podobnie źle wypadają w telewizji ...sztuki Czechowa — gdzie scena jest zbudowana na wzajemnych reakcjach dwóch lub trzech różnych grup postaci. Jeśli scenę taką pokazać w ujęciu ogólnym tak, aby wszystkie postacie były widoczne, to są one tak małe, że co subtelniejsze ich reakcje przechodzą nie zauważone. Jeśli natomiast kamera pokazuje te grupy po kolei, w zbliżeniu — to owe reakcje nabierają cech przesady i zatracają prawdopodobieństwo równo czesności.

Niemal analogicznie kształtuje się również sprawa z komedią opartą na dowcipie słownym — skuteczność replik uzależniona jest od reakcji mimicznej występujących postaci. Stąd, dla wyrazistości twarzy, konieczność nieustannych zbliżeń, ale repliki są przecież bez przerwy odrzucane, reżyser stosuje tedy rad nierad „szybki" montaż, a to już — cytuję za „Dialogiem" — sprawia wrażenie wizualnej czkawki.

I jeszcze jedna grupa sztuk „nietelewizyjnych" sztuki — mające coś wspólnego z fantastyką.

„Intymność odbiorcy telewizyjnego przekreśla całą skuteczność fantazji. Potwierdza to w całej pełni, że warunki percepcji fantazji stwarza dystans. Publiczność złożona z dwóch lub trzech osób siedzących w zaciszu domowym, w odległości kilku kroków od ekranu, nie poddaje się nastrojowi, jakiego wymaga spektakl tego rodzaju. Realizm jest zasadniczą konwencją telewizyjną". (A na to już nie ma zgody, że dla przykładu przypomnę telewizyjną „Ondynę", choć oczywiście zastrzeżeń nie odnoszę do „Dialogu" a do Normana Marshalla, którego tezy „Dialog" relacjonuje — przyp. mój J.P.)

A oto odpowiedź Marshalla na pytanie, jaki typ sztuk najbardziej odpowiedni jest dla telewizji:

„Z grubsza biorąc, taka sztuka, która „gra" bądź w małym teatrze, lub też jeśli jest oglądana z pierwszych rzędów dużego teatru. Innymi słowy, raczej sztuka kameralna niż widowiskowa. Błędem wszakże byłoby sądzić, że telewizja z racji swej intymności wymaga sztuk spokojnych, mało dramatycznych. Tylko dramat potrafi przykuć widza, ale musi być to dramat oparty na napięciu, a nie na gwałtownych spięciach. Bardzo telewizyjne okazały się sztuki Ibsena. Spośród dramatopisarzy współczesnych duży sukces odnotował Arthur Miller, zwłaszcza jego „Śmierć komiwojażera".

J.P.

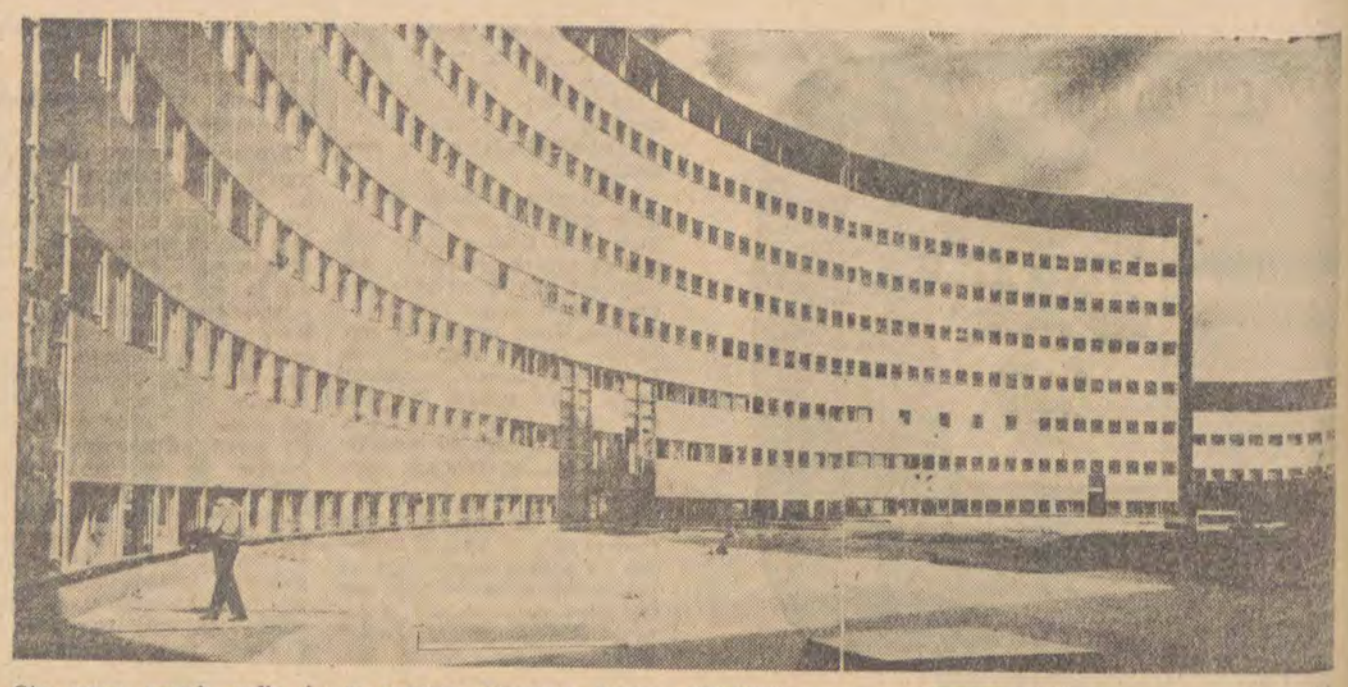

Oto nowy gmach radia i telewizji francuskiej. Zbudowany z aluminium i ze szkła. Imponujący swą nowoczesnością i rozmachem. Ale nie tylko we Francji w czasach ostatnich budownictwo obiektów radia i TV weszło w swe burzliwe stadium. W Leningradzie powstaje wielkie centrum telewizyjne w którym maszt zbudowany z kraty przestrzennej o sześciokątnym przekroju będzie miał około 300 metrów wysokości. Na 187 metrze zaprojektowano oszkloną galerię, z której turyści podziwiać będą panoramę miasta. Wyżej znajdą się już tylko anteny UKF, odbiorników komunikacyjnych TV i nadajników telewizji. Jak wiadomo, już w najbliższym czasie telewizja leningradzka rozpocznie nadawanie drugiego programu.

Burzliwy rozwój przechodzi telewizja w Chinach. Istnieje co prawda dopiero od trzech lat, ale ma swe stacje w Pekinie, Tiensinie, Kantonie, Szanghaju i kilku innych miastach. W 20 ośrodkach Chin trwają w tej chwili prace przy wznoszeniu gmachów dla stacji telewizyjnych.

I wreszcie Polska. Na razie Łódź bryluje wśród innych ośrodków swym pięknym stadiem i stosunkowo znaczną przestrzenią zajmowaną przez redakcje. Dzieje się tak na pewno dlatego, że mimo wszystko nie zabieramy w programie ogólnopolskim tyle miejca, ile by należało, a program lokalny też nie jest za bogaty. Warszawa gniecie się w ciasnym lokalu, ale ma perspektywy: oto w roku 1964 mają być oddane do użytku pierwsze studia wielkiego ośrodka telewizyjnego, który ma się składać z 14 bloków w tym jednego 14 piętrowego wieżowca. Ostatnie obiekty będą przekazane do 1970 roku.

A więc nie tylko we Francji...

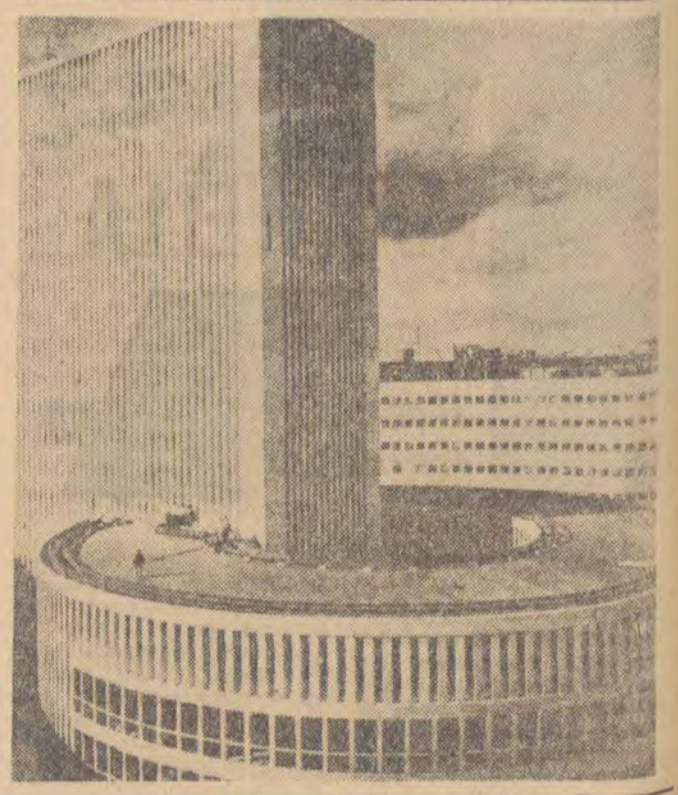

„Podręczna" biblioteka telewizji BBC

W roku 1946 powstała Telewizyjna Biblioteka BBC, która rozwinęła się szybko, stosownie do rosnących potrzeb programu telewizyjnego. Zawiera ona obecnie 5.000 książek i 300.000 ilustracji.

W roku 1946, w chwili jej powstania, liczyła ona 180 książek i całą masę materiałów ilustracyjnych, które zebrano w czasie wojny. Po wysortowaniu i sklasyfikowaniu materiałów przeniesiono je do Ośrodka Telewizyjnego.

Reżyserzy i dekoratorzy muszą mieć w każdej chwili do dyspozycji książki, ilustracje oraz autorytatywną dokumentację. Dekoracje i kostiumy muszą być dokładne, by nie wpadły w oko widzom jakieś nieścisłości — np. nowoczesna firanka w pokoju XVIII wiecznym, czy niezbyt dokładna tarcza herbowa. Pracownikom telewizji potrzebne są techniczne informacje dotyczące oświetlenia, charakteryzacji itp., a pogadanki muszą mieć absolutnie autentyczną informację aktualną.

Warto może przedstawić jak wygląda praca w bibliotece telewizyjnej. Jeżeli np. ma być nadana sztuka historyczna, pierwszy zjawia się reżyser. Żąda tekstu sztuki oraz recenzji i ocen krytycznych dotyczących jej poprzednich realizacji. Potem wyciąga książki historyczne omawiające daną epokę, wydarzenia i postacie sztuki. Następnie przegląda albumy z obrazami z danego okresu, ponieważ chce się zorientować, jak wyglądali jego bohaterowie. W dalszej kolejności z książek tych korzystać będą działy charakteryzacji i kostiumów, w celu zdobycia szczegółowych informacji na temat bród, peruk, ubrań czy biżuterii.

Jako ostatni przychodzi do biblioteki dekorator, w poszukiwaniu informacji o architekturze, krajobrazie, wnętrzach i meblach.

Rzadko jednak kopiuje się ilustracje, przyswaja się raczej ducha miejsca i epoki, a następne tworzy coś nowego.

Z biblioteki tej korzystają także i inni. Wydział opracowujący dokumentarne programy dla kraju i Eurowizji potrzebuje fotografii i informacji o miejscowościach i ludziach, do których pojedzie telewizyjny wóz transmisyjny. Realizacja TV jest zawsze wynikiem ścisłej współpracy między reżyserem i autorem. Przygotowania trwają bardzo długie tygodnie, a czasem nawet i miesiące. Realizatorzy przygotowują sobie materiał na podstawie książek, sprawozdań czy też uprzednio nadanych transmisji (utrwalonych na taśmie filmowej). Ideałem, do którego dążą pracownicy Biblioteki, jest możność dostarczania ilustracji i dokumentacji dla każdego miejsca na świecie, z każdego okresu historii.

Nic też dziwnego, że kierownik biblioteki wraz ze swymi pracownikami w ciągu ostatniego roku odpowiedział na przeszło 12.000 pytań.

(x)

Gospodarstwo Pani Ireny

Tele-Echo przechodzi jakąś wewnętrzną rewolucję. Dawniej była to domena dwóch uroczych postaci: pani Ireny Dziedzic i Bohdana Tomaszewskiego. Dziś interlokutorzy ze strony telewizji mieniają się równie często, jak ci, z którymi przeprowadza się wywiady przy kawie. Nie jest to dobre. Bo niestety, poza wymienionymi wyżej dziennikarzami, nie trafił się taki, który by potrafił rozmawiać. To znaczy postawić frapujące pytanie, zawarte w trzech słowach kondensujących myśl, sugerujących niejako pierunek i ton odpowiedzi, a więc pytanie intelektualnie zaczepne.

SŁUCHANIE tego, co mówią zaproszeni do studia ludzie, jest procesem w audycji najważniejszym. A bywało, że zastępczyni pani Ireny przerywa ludziom w pół słowa, dopowiada coś, co łamie myślowe szyki mówiącego, jest wręcz odwrotne do tego, co chciał powiedzieć. Więc on wyjaśnia, sumituje się, przeprasza i wraca do zaczętego zdania, a tu już minął czas...

Słowem telewizyjne Waterloo.

Pani Irena szuka namiętnie jakiegoś godnego towarzysza teleechowych trudów. Zmieniają się więc nazwiska, głosy, postacie. Poległ nawet w tych szrankach świetny skąd inąd sprawozdawca radiowy i redaktor „Muzyki i aktualności" Henryk Mirosz. Tak się zaplątał w morskiej trawie, którą sadzą na wydmach, że utonął w piasku i chaosie. Choć jego rozmówczyni była i miła i bystra i inteligentna i ładna!

Trudno znaleźć coś godnego uwagi. Razem z przemiłą, wyczuloną na aktualne sprawy, dziennikarką telewizyjną Ireną Dziedzic, czekamy na następców, którzy ulżyliby jej w pracy.

Małe zastępstwo niech będzie jednak zawsze godne zastępowanego... (m)

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 20 LIPCA 1961 R.

12.50 Program dnia (L. lok.). 12.55 Bezpośrednie sprawozdanie z przybycia Jurija Gagarina do Warszawy (W). 13.45 Przerwa. 17.40 Program dnia (L. lok.). 17.45 „Mała urocza plaża" — reportaż z basenu Legii (W). 18.25 Program publicystyczny (L. lok.). 18.40 „Porozmawiajmy" z dyrektorem programowym Telewizji: mówić będzie red. Lech Pijanowski (W). 19.00 „Nie tylko dla pań" (W). 19.20 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Tele-Echo (W). 20.30 Ernest Hemingway — program dokumentalny w opracowaniu Grzegorza Lasoty (W). 20.55 PKF (W). 21.05 Teatr „Kobra" — „Pokój bez okien" (W). 22.05 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 21 LIPCA 1961 R.

16.00 Program dnia (L. lok.). 16.05 Wszystkie dni tygodnia (L. lok.). 16.35 Transmisja centralnej akademii z okazji Święta Odrodzenia Polski (Katowice). 19.45 Dziennik telewizyjny (W). 20.15 „Popiół i diament" film fab. prod. polskiej dozw. od lat 18 (W). 21.55 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 Estrada literacka „Sezon" — jednoaktówka Włodzimierza Pężyckiego (W).

SOBOTA, 22 LIPCA 1961 R.

15.10 Program dnia (L. lok.). 15.15 Klub Myszki Miki (W). 16.00 PKF (W). 16.10 „Szatan z siódmej klasy" film fab. prod. polskiej (W). 17.55 „Kółko i krzyżyk" — teleturniej (W). 18.30 Finał motocyklowych mistrzostw świata. Transmisja z Pragi Czeskiej. 21.00 Dziennik telewizyjny (W). 20.45 Recital chopinowski w wykonaniu Ryszarda Baksta (W). 21.15 „Zwierzyniec czarodzieje" film fab. prod. polskiej dozw. od lat 16 (L. lok.). 22.35 Ostatnie wiadomości (W). 22.40 „Mieliśmy wtedy po 16 lat" program rozrywkowy w reżyserii Jerzego Dobrowolskiego (W).

NIEDZIELA, 23 LIPCA 1961 R.

15.20 Program dnia (L. lok.). 15.25 Niedzielna biesiada (P). 16.25 „Dolina bobrów" film z serii Disneyland (W). 17.15 Estrada poetycka „Kraszewski w Warszawie" (W). 18.00 Sprawozdanie z międzynarodowego mityngu pływackiego (W). 19.00 Festiwal piosenki (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.15 „Człowiek do wynajęcia" — film serjalny (W). 20.45 PKF (W). 21.00 „Serenady operowe" (Poczekam). 22.25 Wiadomości sportowe (W).

POLECO

Wczasy

Moda wczasowa

DZIŚ MODA MĘSKA

Od mody wczasowej wymaga się właściwie tylko tego, aby była ona niekrępująca i aby nie odbiegała zbytnio od ogólnonarodowych przyzwyczajeń — tylko pod tym warunkiem bowiem czuć się będziemy na wczasach rześko i zdrowo.

A oto trzy estetyczne kompleciki męskie na wszystkie okazje.

1. Tużurek półluźny. Jednorzędowy, sześć guzików. Najlepiej z materiału w harmonijną pepitkę. Spodnie luźne nad kolanami lekko przymarszczone. Kontrafałdki bokami. Wyżej obłoczki. Klapki minimalne, prawie w zupełnym zaniku ze względu na chuliganów oraz dyskusje.

2. Smoking lekko pancerny. Tenis granat lub bladobrąz. Od zewnątrz płyta stalowa 0.6 mm tudzież nagolenniki. Ciekawą innowacją wydaje się być hełm polowy swobodnie puszczony na plecy. Talia nieco wyżej niż w ubiegłym sezonie. Większa rotacja w biodrach i kolankach. Pożądana chusteczka do nosa w kolorze beżowym. Komplet powyższy daje pełną swobodę poruszania się na dancingach i zebraniach towarzyskich.

3. Wdzianko á la kimono. Jedwab surowy lub ryps jedwabny. Okulary. Zrzadka motywy dekoracyjne oparte na wzorach z zoologii. Rękawy luźne w zwisie. Nogawice w podporze. Pozostałe fragmenty normalnie. Zaleta tej prostej i taniej szaty jest duża bezpośredniość i wszechstronna użytkowość.

Byłem konduktorem *czyli* służbowa interwencja

Jak tylko zajrzałem do przedziału przypomniałem sobie modlitwę za konających. Pod oknem żona krzyczała na męża, mąż na żonę, a ich dziecina darła się w przestrzeń kosmiczną. Z przykrością stwierdziłem, że w przedziale niewielu jest przyjaciół dzieci. Np. siedzący przy drzwiach młodzian spytał czy nie można by dziecka uciszyć. Wprawdzie rodzice odpowiedzieli mu cierpko, ale czy to powód, by zaraz grozić uduszeniem? Po tej groźbie ojciec dziecięcia wyraził przypuszczenie, że nie wszyscy przodkowie po kądzieli jego rozmówcy prowadzili się wzorowo. Nietrudno przewidzieć co by było dalej, aliści do rozmowy wtrącił się pan drzemiący dotąd słodko na ramieniu blondyny, podróżującej w towarzystwie rudego. Obudzony zręcznym kopniakiem powiódł raczej pijanym spojrzeniem wokół i zaproponował by dać dziecinie kielicha, po czym zapadł w krzepiący sen na ramieniu blondyny. Tym razem obok rudego zareagowała również nieco zdenerwowana matka. Z pomocą pijanemu przyszedł młodzian lubiący dusić oraz jego kolega. Stronę przeciwną wsparła blondyna i ojciec dziecięcia. Filozoficzny spokój zachowała jedynie kobieta z koszem drobiu i usiłujące z powodzeniem podlać ławkę dziecię. Dwie szyby poszły w drobny mak.

Poczułem się zobowiązany do służbowej interwencji i to był mój błąd. Dowiedziałem się natychmiast, że ponoszę winę z to, że:

a) wszyscy jadą na wczasy 1 lipca,

b) pociągi nie są z gumy,

c) dziecko boli brzuszek,

d) wódka jest coraz gorsza,

e) szyby są kruche.

Poza tym ktoś zaproponował, abym złożył pocałunek na jego plecach, a ktoś poddał w wątpliwość moje człowieczeństwo. Dalej nic nie pamiętam. Obudziłem się w brudnym pomieszczeniu z kratami w oknach. Później przeniesiono mnie do czystego białego pokoju bez klamek. Jest mi tu dobrze, bo tylko od czasu do czasu przywiązują mnie pasami do łóżka. Dzieje się tak wtedy, gdy zaczynam wspominać swą karierę konduktorską. Już idą z pasami.

Poradnik wczasowy

APTECZKA TURYSTYCZNA

Wybierając się na wczasy nie wolno zapomnieć o zaopatrzeniu podręcznej apteczki w:

żołądkową gorzką — dla żołądkowców

angielską gorzką — dla wątrobiarzy

spirytus — dla reumatyków

whisky domowego wyrobu — dla snobów.

KUCHNIA WCZASOWA

Wczasowiczom którym sprawia kłopot dobór odpowiedniego menu służymy radą:

śniadanie — manna kaszka na mleku w proszku

obiad — rosół z drobiu (w kostkach) z manną

kolacja — manna kasza na jeziornej wodzie z jagodami.

Zestaw tani, zdrowy i nieskomplikowany. Podziękowania prosimy przesyłać na adres redakcji.

Z KSIĄŻKĄ NA WCZASY

Radzmy zabrać: Robinsona Crusoe, Tomek wśród ludożerców, Zimny wychów drobiu, (zwłaszcza na jeziora), Grzeczność na co dzień oraz pracę znanego etnografa „Klątwy i przekleństwa plemion koczowniczych".

Nie radzimy: podręcznika nauki pływania (po co kusić zło), książki kucharskiej (nie zaostrzać apetytu), Co młode małżeństwo wiedzieć powinno (wątpliwy pożytek).

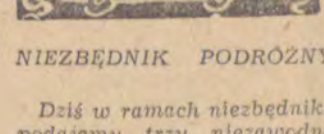

NIEZBĘDNIK PODRÓŻNY

Dziś w ramach niezbędnika podajemy trzy niezawodne metody wypoczynku:

Stanie na jednej nodze — szkoła fakirów, zastosowanie w pociągach.

Spożywanie dużych ilości lodów — najlepiej w okolicach podbiegunowych.

Wysłać rodzinę na wieś i zaszyć się w cieniu biblioteki.

Pamiętnik turysty

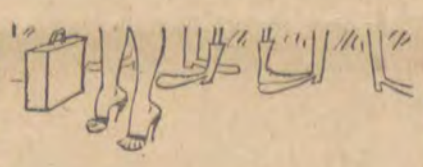

ŁÓDŹ, 1.VII. „Na wyraj, na wyraj — odpocznij, nie tyraj". Tak zrobię. Jadę regenerować szare komórki i mięśnie podłużne. Tylko turystyka da mi maksimum zadowolenia. Pociąg w nieznane okolice województwa olsztyńskiego odjeżdża za dwie godziny.

OLSZTYN 2.VII. Hotel — pluskwy. Podróż miałem klasyczną — coś z Dantego. Usiłuję zebrać nadszarpnięte siły do dalszej wędrówki. Przeszkadza mi w tym rodzina z dziećmi zajmująca sąsiedni pokój. Zastanawiam się, czy istotnie uwielbiam dzieci.

GRUNWALD, 4.VII. Głód. Zwiedzanie Grunwaldu zbogaciło mój intelekt o głębokie refleksje natury historiozoficznej. Porównanie historii do sklepu pełnego towaru lecz zamkniętego na cztery spusty wydaje mi się szczególnie trafne.

MAMRY, 6.VII. Deszcz. A teraz na jezioro a raczej tam, gdzie ono było. Kajaków jest nieco więcej niż wody, co nie ma znaczenia, bo i tak leje jak wół do karety. Przykre tylko, że namiot przemoczony, nie ma gdzie przytulić mokrej głowy.

TAMŻE, 7.VII. Koniec świata. Leje. Poziom wody wzrósł i porwał mi kajak. Gdy starałem się go odzyskać, ktoś ukradł mi namiot. Tubylcy odmówili pomocy. Przede mną perspektywa spędzenia nocy pod gwiazdami. Mam dość. Wracam do Łodzi by odpocząć po urlopie.

Łódź, 9.VII. Nareszcie!!!

PRZEWODNIK PRADZIADKA

W roku 1898 warszawska „Mucha" opublikowała przewodnik dla naszych turystów odwiedzających Paryż. Całość z której przedrukowujemy kilka fragmentów nosiła wdzięczną nazwę „Nieduży Francuz".

A to boki zrywać
ah, se kote deszire

Jak się pan masz?
Koman wuzawe wu?

Czy masz pan drobne?
Awe wu le pti?

... i tak dalej i tak dalej. O dziwo w niedużym Francuzie nie było pozycji w rodzaju „kup pan spirytus" ewentualnie „po ile sweterki?". Widać turystyka zmienia swe oblicze. Na korzyść (oczywiście finansową turystów.

Wczasowy „SAVOIR VIVRE"

Pan Zbigniew C. Pyta pan czy słusznie postąpił pański znajomy, który bronił się nożem przed atakującym go (w czasie kąpieli morskiej) rekinem. Znajomy jak się okazuje jest człowiekiem absolutnie niewychowanym. Do ryby która nawet mówić nie umie z nożem?!

Pani Cecylia W. Narzeczony ma rację. Nieślubne dziecko z przygodnie poznanym wczasowiczem może istotnie wywołać plotki, co źle wpłynie na Pani pożycie z narzeczonym.

Kierowniczka domu wczasowego. Oczywiście. Jak im nie smakuje, niech sobie jedzą w restauracji.

Przewodnik. Zgadzamy się z panem, że uczestnicy wycieczek mają irytujący zwyczaj rozchodzić się i ginąć. Niemniej jednak bicie ich za to laską po plecach uważamy za niejaką przesadę. Ostatnio zresztą zastosowano nową metodę wiązania wycieczek. Radzimy spróbować.

Nasza KRZYŻÓWKA

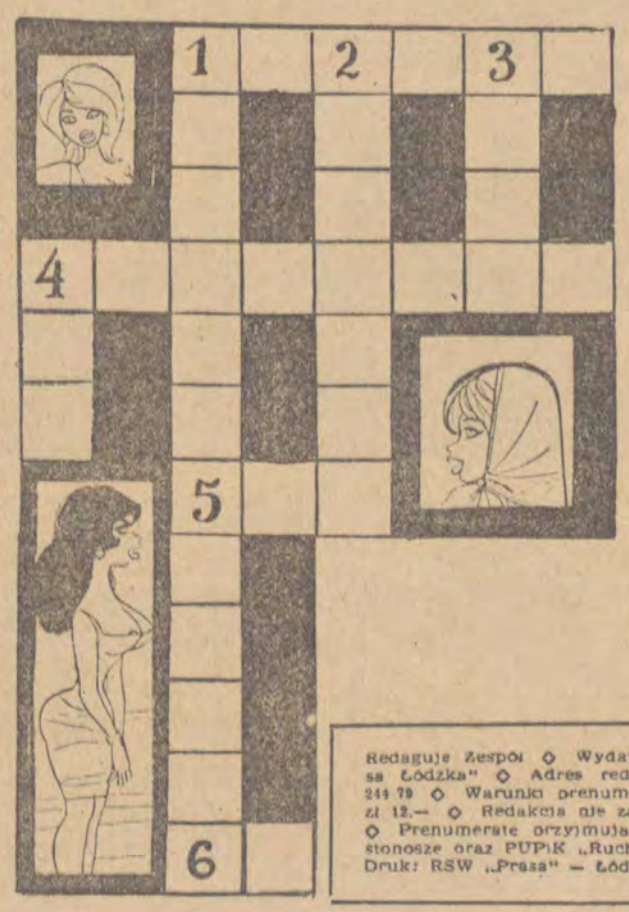

Krzyżówka (z kociakiem!!!) wczasowa

Poziomo

1. **Zdobycz świata pracy**
4. **Mogą być „pod gruszą"**
5. **To samo co 2 pionowo**
6. **Wyraj**

Pionowo

1. **Zdobycz klasy robotniczej**
2. **To samo co 2 poziomo, ale wspak**
3. **Dwutygodniowe.**
4. **Męczący sposób odpoczynku.**

ROZWIĄZANIE: ZA 9 MIESIĘCY.

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 2079. VII. L-4

NOWE ZDJĘCIA Andrzeja Kondratiuka

Od paru dni w sklepie przy ul. Piotrkowskiej 102, w sąsiedztwie ludowych i pseudoludowych wyrobów, a więc w cieniu straganu CPLiA, błyszczy autentyczna sztuka. Młody, skromny człowiek, Andrzej Kondratiuk, absolwent łódzkiej szkoły filmowej, który zwrócił już na siebie uwagę etiudami, zawiesił tu własnoręcznie ponad pół setki swoich fotografii. Oglądając je, znawcy cmokają, bądź mają za złe, snobi wywnętrzają się niechlujnie w niechlujnej niby książce pamiątkowej, zwykli ludzie patrzą urzeczeni, dumają, odchodzą i... przychodzą patrzeć po raz wtóry. Jest bowiem w sztuce fotograficznej Andrzeja Kondratiuka niemały ładunek zadumy nad człowiekiem. Czy to twarz starzejącej się piękności, czy studium brody i zarostu młodych mężczyzn, czy portret babci-kabalistki, czy dwaj panowie nie z tej epoki, ten w dęciaku i ten clownowaty toczący dialog w plenerze śnieżnym, czy kleryk wśród kociaków — wszystko to są dowody wrażliwości autora na indywidualne i niepowtarzalne przejawy człowieczeństwa. Nawet z „martwej natury" Kondratiuka wyziera humanistyczny punkt widzenia. W zestawie dwóch prac: tej z rybami o wystających ponad słoik z wodą pyszczkach i tej z kościotrupem na brzegu morskim, jest cała filozofia „komedii ludzkiej". Młody artysta, pasjonujący się treścią przeżyć i kompleksów swoich współczesnych wystawił sobie tą ekspozycją świadectwo dojrzałości.

Reprodukujemy obok zdjęcia, których miły naszemu pismu Autor nie zdążył umieścić na wystawie. Mniemamy, iż łącznie z jego komentarzem są dobrym suplementem do tego, cośmy napisali.

* * *

Stała razem z innymi dziećmi, najmniejsza z nich szczupła czarnulka. W rękach trzymała kłosy, z których wydłubywała ziarnka. Była poważna i skupiona jak dorosły. Wiedziała, że ci w mundurach są źli. Kiedy „Niemcy" zaczęli wpychać dzieci do samochodu Ałła rozpłakała się i długo potem jeszcze szlochała, zwłaszcza, że wszyscy krzyczeli, wszystkim się spieszyło i powtarzano wielokrotnie tę samą scenę. Był to przecież tylko film...

Ałłę poznałem „na planie" nowego krotkometrażowego filmu „Ambulans sanitarny", realizowanego przez Kubę Morgensterna.

ANDRZEJ KONDRATIUK